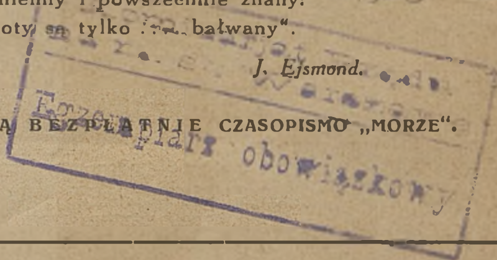
POLSKA — INWALIDOM.



LIT. ART. W. GŁÓWCZEWSKI, WARSZAWA






Biblioteka Jagiellońska



GAZOWNIA MIEJSKA
W POZNANIU

DOSTARCZA KOKS PIERW-
SZORZĘDNEJ JAKOŚCI,
PRZETWORY SMOŁOWE,
BRYKIETY OPAŁOWE,
UTRZYMUJE NA SKŁADZIE
PRZYBORY DO ŚWIATŁA
GAZOWEGO, KUCHNIE,
:: :: PIECYKI I T. P. :: ::



642

Polska — Inwalidom

Nr. 1. KWARTALNIK ILUSTROWANY Rok 1925.

POD REDAKCJĄ WIKTORA PRZECŁAWSKIEGO

SPIS TREŚCI:

OKŁADKA WEDŁUG RYSUNKU BOHDANA NOWAKOWSKIEGO.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: MONIUSZKI 2A, M. 18. TELEF. 303-82. BIURO ADMINISTRACJI CZYNNE CODZIENNIE OD GODZ. 9--3. PRENUMERATA ROCZNA 10 ZŁ. NUMER POJEDYŃCZY 3 ZŁ. REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI, OD GODZ. 5—7 WIECZ. RĘKOPISÓW NIEZAMÓWIONYCH REDAKCJA NIE ZWRACA I NIE ODPOWIADA ZA NIE.

POLSKA —
INWALIDOM

Od Redakcji.

Kiedy w roku 1920 surma trwogi i dźwięk trąb pobudki wojennej grzmiały nad stolicą i całym krajem, kiedy rząd „zgody i obrony" jednoczył wszystkie warstwy pod sztandarem walki, — oni: nieznani żołnierze, „leguny", poborowi czy ochotnicy poszli bez szemrania i zwyciężyli. Dzięki ich krwawej pracy, dzięki ich straszliwemu trudowi ocalała stolica, ocalały najważniejsze centra przemysłu i handlu, ocalał honor Polski i Jej, bogata dziś w nadzieje i realne możliwości, przyszłość.

Nie chcemy na tem pierwszem miejscu naszego pisma przypominać społeczeństwu grozy położenia w przeddzień „Cudu nad Wisłą", nie chcemy wyliczać tych szumnych odezw i obietnic, które barwną chmarą zasypywały ulice miast i okopy w polu, nie chcemy udowadniać, że w ogromnej większości nie zostały spełnione, nie leży w naszych zamiarach sianie goryczy i żalu.

Pragniemy natomiast być jakby pomostem pomiędzy inwalidami a społeczeństwem.

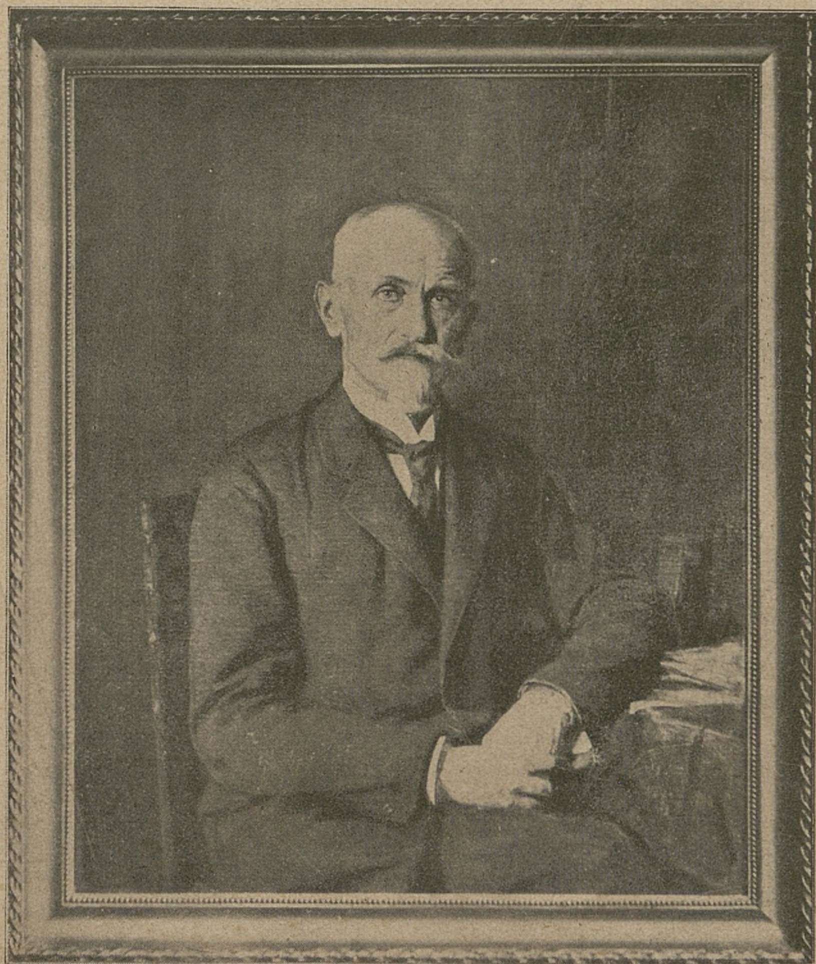
Pragniemy zasypać przepaść nieufności i niewiedzy i braku najzwyklejszego zainteresowania. Chcemy z jednej strony dać inwalidom potrzebną i zdrową strawę duchową, chcemy także zapoznać jak najszersze warstwy społeczeństwa z potrzebami, organizacją i pracą zrzeszeń inwalidzkich. Chcemy przedewszystkiem dać wyraz tym zdrowym i pełnym honoru dążeniom inwalidzkim, które nie uznając żebraniny i łaski, nie chcą być bezprodukcyjnym ciężarem społeczeństwa, a żądania swe opierają li-tylko na pełnych swych prawach i na poczuciu spełnienia najcięższego, a najświętszego obowiązku.

Nie wątpimy, że znajdziemy wszędzie poparcie jak najgorętsze. Nie wątpimy, że wszyscy ludzie dobrej woli nie odmówią nam swej pomocy, że w haśle naszem „nędza inwalidów to rumieniec wstydu na obliczu społeczeństwa" wyczują prawdę a nie krzyk agitatorski, że na równi z nami zapragną, by stanęły nareszcie w Polsce domy i warsztaty inwalidzkie, w których wrzeć będzie produkcyjna praca, że na równi z nami dążyć będą do tego, by wszyscy ci, którzy w obronie ojczyzny utracili ręce, nogi czy wzrok, i zdolność do pracy, czuli się dobrze wśród rodaków, by czuli się obywatelami, którzy spełnili zaszczytnie swój obowiązek, a nie żebrakami, klnącemi swój los.

Chcemy, by społeczeństwo interesowało się żywo bytem i pracą inwalidów, i by im pomagało w pełni zrozumienia, że spłaca jeden z swych najpilniejszych i najświętszych długów.

REDAKCJA.

Warszawa, w czerwcu 1925 r.



STANISŁAW WOJCIECHOWSKI

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ

(Według portretu olejnego K. Pochwalskiego, z salonów Belwederu w Warszawie).



A którzy w srogim padli boju,
Niechaj odpoczną dziś w spokoju.

A kiedy na Sąd Wielki wstaną,
Każdy promienny swoją raną,

W łachmanach każdy, jak w sobolach,
Na radzymińskich staną polach,

To ze łzą w oku, śmiercią niemi,
Ustami czarnej dotkną ziemi.

Owdzie otworzą się mogiły,
Co się serdecznej krwi opiły.

Oto wychodzą z nich bez liku
Bohaterowie w groźnym szyku

I wkoło patrzą czujnie, bacznie,
Czy się gdzie nowy bój nie zacznie?

Powstali czujni, wierni stróże,
Rany ich płoną, jako róże,

Bo na bitewnych pól obszarze,
Tak pracowali, jak żniwiarze,

Aż utrudzeni i pobladli,
Wprzód zwyciężyli,—potem padli.

O, dajże Ty im, święty Chryste,
Odpoczywanie wiekuiste.

Bowiem sny mają niespokojne,
Czyli znów trzeba iść na wojnę?

Bowiem w swym zimnym leżą grobie,
Karabin mając wciąż przy sobie.

Niech wiatr nie wieje tam jesienny,
Gdzie leży żołnierz bezimienny.

Niech na nich złote pada liście,
I niech im stroi grób złociście.

Potem ich biały śnieg otuli,
Bo leżą nadzy, bez koszuli.

A z wiosną jasną i błękitną,
Niech im na grobie kwiaty kwitną

Takie czerwone, krwią oblane,
Jakbyś ich świeżą widział ranę,

Lub na cichego grobu zboczy,
Takie niebieskie, jak ich oczy.

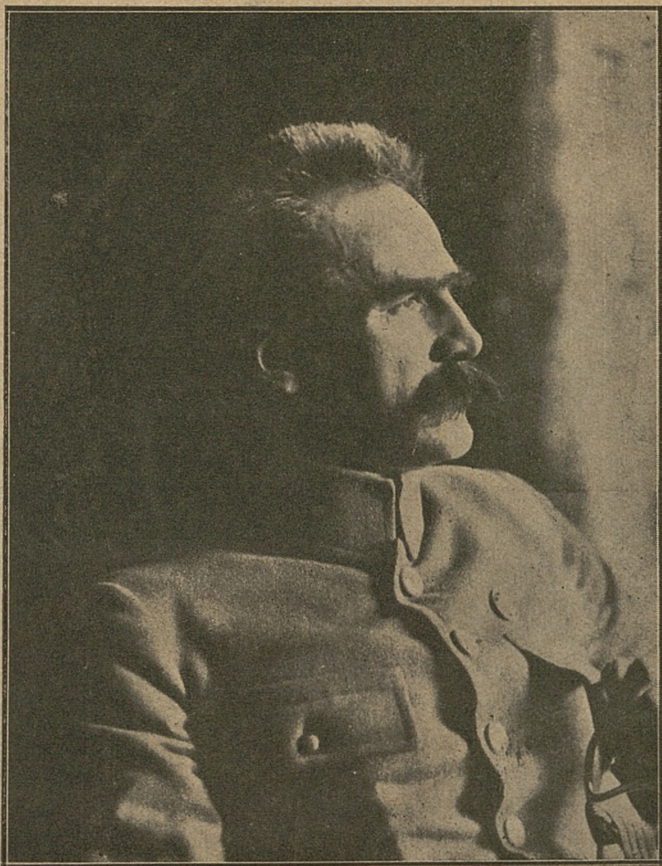
Niech wszystkie zlecą się skowronki,
I jako srebrne dzwonią dzwonki,

Niech słowik na tym tylko grobie
Uwije ciche gniazdko sobie,

I od wieczora do zarania,
Ich drogie piosnki im wydzwania.

O, dajże Ty im, Jezu Chryste,
Odpoczywanie wiekuiste!

Kornel Makuszyński.



Są rany i blizny, są blizny i rany! Są rany i blizny fizyczne, są też i moralne. I nie wiadomo często, która bardziej piecze, która silniej boli: czy te, co przez kulę i bagnet zadane, czy te, co w głąb serca sięga lub mózg owa i pogryza. Jedno jest wspólne, że z dawna pozostawione, fizyczne czy moralne, rany dają znać o sobie, przypominając i miejsce i okoliczności zranienia i wciągając jakgdyby na nowo w cierpienia, pomimo jakgdyby o przeszłości dolega. Gdy więc myślę o inwalidach wojny, sądzę zawsze, że znaczna mniejszość koleżeństwa z tych, co rany i blizny moralne, jak one fizyczne, twardo znoszą, by razem dni dobić. Dotknięcie tych blizny o przeszłości.

Sulejówek 18/IV 1925 r.

J. Piłsudski

b. Naczelny Wódz armii polskiej

Życzę najlepszego
powodzenia w zabiegach
około wzniesienia wielkiego,
pięknego Gmachu Inwalidów,
który Polska zasłużonym
obrońcom swym ofiarować
pragnie.

[illegible]

17. II. 1925 Gen Bryg.

O sprawie prostej, a zapomnianej.

MOTTO: „Sprawa inwalidzka w Polsce— sprawą honoru społeczeństwa".

Mówić się tu będzie o sprawie prostej, zupełnie jasnej i prostej, a mówić się będzie dlatego, że jednak jest ona zapomniana. W rozgwarze dzisiejszego życia, w chaosie tworzących się nowych skupień i sił, gdzieś się zapodziało, że się tak wyrazimy, poczucie honoru i sprawiedliwości społecznej, a nawet zrozumienie społecznego interesu.

Doraźna korzyść — oto jest cel współczesności. Dla tej doraźnej korzyści poświęca się wiele, nawet bardzo wiele, a przedewszystkiem sieje się na prawo i na lewo obietnicami, lekceważy się słowo, lekceważy się honor i lekceważy się ludzi. Sieje się ziarno nieufności, a nawet nienawiści, podrywa się podstawy przyszłości i wiarę w mądry instynkt społeczności. Coraz głębiej grzęźniemy w najgrubszym materjaliźmie, coraz żarliwiej i, mówiąc szczerze, bezwstydniej wyznajemy ciemną i na wskroś egoistyczną religję ziemi, i dziwimy się, że walka życiowa przybiera coraz ostrzejsze formy.

Korzyść doraźna! Ma ona przedewszystkiem krótkowidzące oczy, rodzi się z żądzy lub strachu, a więc w pierwszym i drugim wypadku nie ma nic wspólnego z rozumnem przewidywaniem. Gdyby było inaczej, inwalidzi nie mogliby się uskarżać na brak poparcia, na lekceważenie, na zapomnienie, na niedotrzymywanie obietnic. Inwalidzi! Dość przypomnieć sobie rok 1920, dość otwarcie wyznać, że dzisiejszą możność rozwoju wogóle, a choćby całość stolicy, ocalenie centrów handlu i przemysłu w szczegółach, zaś **ocalenie godności narodowej przedewszystkiem** — właśnie tym dzisiejszym kalekom w ogromnej mierze zawdzięczamy, by ustalić, że państwo i społeczeństwo powinny zapewnić nietylko znośny byt tym tak niedawno wysławianym obrońcom ojczyzny, lecz także byt ten rozświetlać szczerą wdzięcznością i czujnem zainteresowaniem. Tak, niestety, nie jest. Przyczyny złego szuka się wszędzie, szuka się przedewszystkiem pomiędzy samymi inwalidami (i to, oczywiście, najchętniej) i w tem szukaniu i doprawdy śmiesznem chwilami „spraw rozpatrywaniu" zapomina się o rzeczy najważniejszej, a mianowicie o tem, że ma się do czynienia z inwalidami.

Słyszymy ustawicznie: wśród inwalidów grasuje komunizm, inwalidzi zajmują się żebractwem, inwalidzi nie umieją pracować, inwalidzi kłócą się między sobą i t. d. i t. d.

Nie, szanowna stolico, praso i opinjo społeczna! Sprawa się nie tak przedstawia! Inwalidzi swój ciężki, swój krwawy obowiązek spełnili,

i to jest rzeczą najważniejszą! Wśród inwalidów grasuje nie komunizm, lecz bieda, nie niechęć do pracy, lecz bezrobocie, nie żebractwo, lecz głód, który złym i nieustępliwym jest doradcą! Na terenie tylko samej Warszawy, wedle ostatnich danych (z dnia 29.IV. b. r.) Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy jest 259 zarejestrowanych bezrobotnych inwalidów, którzy się niemal codzień po pracę nadarmo zgłaszają! A wielu jest niezarejestrowanych?! A cóż ma powiedzieć ten oficer (do wymieniania nazwisk nie jestem upoważniony) który był siedm razy ranny, posiada krzyże Virtuti i walecznych, i dziś, będąc oficerem rezerwy, nie zarabia nawet 100 złotych miesięcznie?

A czemże to były powodowane poselskie interpelacje w Sejmie, brzmiące: kiedy nareszcie wejdzie w życie ustawa sejmowa z dnia 18. III. 1921, względnie, jakie są powody, że ustawa ta dotąd w życie nie weszła, — dlaczego uprawnieni do pobierania rent lub pensji inwalidzi nie otrzymują przynajmniej przewidzianych zaliczek, — któż tu zawinił i czy będzie pociągnięty do odpowiedzialności? —, a skądże biorą się w kronikach pism krótkie notatki „z niedostatku i braku pracy targnął się na życie inwalida **21 letni**" i t. d. 21 letni, więc inwalida armji polskiej, z r. 1920!

Faktem jest również, że znaczna ilość inwalidów nie otrzymuje całej renty, przyznanej przez Rząd, a cała renta wypłacona ogółowi inwalidzkiemu jest o kilkanaście procent niższa od należnej zgodnie z Ustawą Sejmową z dnia 18. III. 1921 r.

Faktem jest również, że inwalidzkie Komisje wojskowo-lekarskie na porządku dziennym „cudownie" zaiste uzdrawiają inwalidów, a dzieje się to tak często i jawnie, że wieść o tych cudach przedostała się nawet za granicę. Jak się to robi? O, bardzo łatwo. „Jest pan zupełnie niezdolny do pracy? Należy się panu 100 % niezdolności! Ale my możemy dać panu tylko 80 %!—A panu? Panu się należy 50 %! Tak. Ale my możemy dać tylko 20 %!" Dlaczego? Sanacja skarbu?! Nie chce się wierzyć! Przecież inwalidzi za wolność naszą płacili krwią!

Faktem jest również, że w biurach rządowych „uśmiechają się" nadal panienki w ażurowych pończoszkach i lakierkach, a wśród inwalidów, którym uroczyście zapewniano pierwszeństwo posad państwowych i komunalnych jest wielka ilość sił zdolnych i wykwalifikowanych.... bez pracy. Posiadają krzyże „Virtuti" i „Walecznych", lecz skarb nasz zato nie płaci.

Faktem jest również, że wielu bohaterów (tak jest!), o których było głośno i szumno, przymiera głodem (dosłownie) i np. nie ma zupełnie własnego mieszkania.

Faktem jest również, że usunięto kilkudziesięciu inwalidów z **Zakładu leczniczo-szkolnego** na Pradze, przenosząc ich **do baraków** na Żoliborzu!

Faktem jest, że władze komunalne nie okazują większego zainteresowania sprawą inwalidzką.

Faktem jest, niestety, brak poparcia należytego ze strony Rządu, i brak poparcia ze strony społeczeństwa.

Sprawa więc jest, jak się rzekło, jasna. Ci, którzy dziś są inwalidami, swój obowiązek całkowicie spełnili. Wzamian! otrzymali ochłapy! Lecz bądźcie spokojni! Dalej żebrać nie będą! Prąd w kierunku rozszerzenia swoich praw wśród rzesz inwalidzkich płynie na zdrowych zasadach. Nie zapomnieli oni o honorze żołnierza. I nie zapomną! Lecz, daj Boże, by nie zapomnieli o honorze społeczeństwa, za które krew przelewali. Bo już zapominają. I mają słuszność. Kto tej ich słuszności nie dostrzega, niechże tu głos zabierze. Jestem przekonany, że redakcja „Polska—Inwalidom" ani mu miejsca nie odmówi, ani wolności słowa w niczem nie uszczupli.

Janusz Wirski

Od Redakcji:

Jeżeli artykuł powyższy razi lub grzeszy, to razi i grzeszy tylko gorącym swym rytmem i ostrością słowa, wybuchową, namiętną szczerością. Sądzimy, że jest potrzebny. Z chęcią wysłuchamy i pomieścimy głosy tych, którzy zapragną przemówić pod hasłem: sprawa inwalidzka w Polsce — sprawą honoru społeczeństwa.

Krzywda.

Zwrócono się do mnie z prośbą, abym napisał artykuł do kwartalnika „Polska — Inwalidom", któreto pismo ma, jak się wyraził jego redaktor „być pomostem porozumienia pomiędzy inwalidami, którzy za wolność naszą walczyli, a społeczeństwem, które o nich zapomniało". Mówił także, że redakcja nie chce i nie zamierza „siać goryczy i żalu", że jednak „niepodobna przemilczeć wszystkiego" i „niepodobna zabronić mówić tym, którzy serca mają smutne i pełne goryczy" i „których słowa przeto nie są łagodne i nie tchną cierpliwością, lecz są często boleśnie szczere i ostre". Mówił także, że byłby szczęśliwym, gdyby ci, którzy dziś tak ostro przemawiają, mogli przemówić inaczej na podstawie faktów, które dziś są jeszcze w dziedzinie marzenia. Dostałem później cały szereg wyjaśnień, cyfr, broszur, notatek, przeczytałem to wszystko cierpliwie i uważnie, i oto zrozumiałem, że dzieje się *krzywda*, i że z krzywdą tą walczyć jest obowiązkiem każdego, jest obowiązkiem społeczeństwa (nietylko Rządu).

W zeszycie niniejszym (i w dalszych zapewne) znajdziecie czytelnicy wiadomości i dane o wielu faktach, krzywdę tą illustrujących, ja więc o szczegółach mówić tu nie będę. Stwierdzam tylko na ich podstawie, ze inwalidom jest w Polsce źle, i jest rzeczą doprawdy śmieszną twierdzić, że winę tu ponoszą inwalidzi. Zorganizowali się, jak umieli, — a zorganizowali się jednak lepiej, niż w niejednem państwie zachodniem, — walczą o swoje prawa na drodze legalnej, — dużo już wywalczyli, — a mimo to jest im źle, bo niejeden z tych, których piękne warszawianki w sierpniu 1920 r. obsypywały kwiatami, przymiera dziś głodem, lub żebrze na ulicy.

* * *

„My nic o tem nie wiemy“ — słyszę liczne głosy, gdy mówię dziś często o tej sprawie. Nie wiecie dziś o tem piękne panie i panowie? A czy wiecie o tem, że w czasie, gdy setki i tysiące zarabiały doskonale lub bogaciły się nawet w nowej Polsce, inwalida dzisiejszy bronił was własną piersią?! Czy wiecie o tem, że jednak tak nazwany „cud nad Wisłą“ nie był cudem Boskim, ani tembardziej triumfem myśli zagranicznej (choć nam życzliwej), lecz poprostu bitwą wygraną przez tych, którzy wtedy za was, za wasze domy, fabryki, kawiarnie i kina, za wasze majątki, za waszą wolność i dumę narodową walcząc, płacili „gotówką“ daninę życia i krwi?! Czy społeczeństwo o tem nie wie? Wie. Prawda? Gdybym powiedział, że nie wie, powiedziałbym rzecz śmieszną. A jednak . . .

* * *

Miałem zaszczyt poznać w tych dniach oficera rezerwy, kawalera „Virtuti“ i „Krzyża walecznych“, który w roku 1922 dopiero opuścił armję czynną, który był 5 razy ranny, jest inwalidą i... i zarabia na życie, zbierając ogłoszenia dla jakiegoś mało znanego wydawnictwa. Musi chodzić kilka godzin dziennie bez względu na pogodę, musi często chodzić dzień cały, bo ma troje dzieci (a jest wdowcem), które piją mleczko i jedzą bułeczki mimo, że ojciec ich nie jest ani fabrykantem, ani posłem, ani kamienicznikiem, ani nawet radcą ministerjalnym! Jest kawalerem „Virtuti“ i „Krzyża Walecznych“! Zaszczyt. Wszak prawda? Tak, lecz zato nikt nic nie płaci, a inwalidzie, który był 5 razy ranny, dyrektorzy różnych instytucyj prywatnych mówią: „proszę pana, bardzo nam przykro, ale my, w ciężkich czasach dzisiejszych, potrzebujemy ludzi zdrowych, wytrzymałych, silnych!“

Dyrektorzy instytucyj prywatnych mają, oczywiście ze swego punktu widzenia słuszność, — a jednak dzieje się krzywda . . .

* * *

Gdybym chciał notować tu te wszystkie fakty, z któremi się zapoznałem, mógłbym napisać książkę. Wszak inwalidów w Polsce jest przeszło 300000, a z tych bardzo skromne, często zaledwie na suchy chleb wystarczające, zaopatrzenie rządowe otrzymuje zaledwie część trzecia.

* * *

Czasy są istotnie ciężkie, — lecz ciężkie są nie z powodu trwającego przesilenia finansowo-ekonomicznego jedynie, a raczej głównie z powodu tego, że na każdem polu zbiorowego bytu zwyciężać zaczyna jawny już egoizm, i nazwijmy rzecz po imieniu, chamstwo. Proszę mnie fałszywie nie rozumieć. Przecież — któż zaprzeczy? — rozpanoszyło się dzisiaj okropne chamstwo moralne, sercowe także, jeśli się tak wyrazić można, zatruwające swoją barbarzyńsko-materjalistyczną filozofją życia społeczną atmosferę, wciskające się wszędzie i wszędzie szukające żeru dla siebie. Walka o każdą dobrą sprawę jest walką z tem chamstwem. Albowiem jest ono dziś wszędzie. Ono nie uznaje także krzywdy inwalidów. Ono jej nie rozu-

mie. Ono bardzo chętnie robi dobre interesy na inwalidach (żeruje!), ale ono im nie pomoże, bo ofiara, pomoc to nie interes!

Inwalidom możecie pomóc tylko wy, dla których słowa honor, Ojczyzna, krzywda i ból — nie są pustym dźwiękiem! Którzy macie serca, tętniące nietylko krwią, ale i siłą moralną! Którzy umiecie dotrzymywać słowa, którzy jesteście ludźmi honoru! Którzy przeciwstawiacie się chamstwu i egoizmowi, którzy poza swym interesem, widzicie także interes społeczny, i którzy swój czas sprzedajecie nietylko za pieniądze! Którzy nie żyjecie pod znakiem shimmy i użycia, ale umiecie wnosić w życie wartości szlachetne i zdrowe. Do was się tu mówi. Bo nie łudzimy się i wiemy, że mówimy tylko do szlachetnej mniejszości. Ta „większość największa" to, jak wszędzie, obojętna masa, i tę, wy mniejszość, możecie zmusić do czynu, i do walki z krzywdą, i z wszelką krzywdę w jej istnieniu popierającem, chamstwem! Cóż macie robić? Niewiele. Po prostu pamiętać o inwalidach. Pamiętać zawsze. Nie odmawiać im pracy, gdy to od was zależy, nie odmawiać poparcia ich przedsiębiorstwom i staraniom, popierać wszędzie, gdzie wasze poparcie znaczy.

* * *

I zapoznawać się z ich położeniem. Należę to tych, którzy dziś spokojnie o sprawe tej mówić nie mogą. Przemówiła bowiem do mnie krzywda jaskrawym, mocnym głosem i nie milczy, i przemawia codzień. A najokropniejsze jest to przemawianie codziennej nędzy. Także moralnej. Bo głód i nędza bardzo wytrwałemi są pedagogami. Uczą Zła. Narzucając, straszny pogląd na życie, przemalowywują wszystko, przewracają wartości, kuszą. Rodzą łotrów i żebraków. Poniżają człowieczeństwo. Plugawią wszelkie świętości. Namawiają do przestępstw i zbrodni. Lecz za przestępstwa i zbrodnie, których matką jest nędza i krzywda, któż jest odpowiedzialny?

* * *

Tym, którzy dla sprawy inwalidzkiej, szczerze pracują, śni się wspaniały dom inwalidów w stolicy. Nie wątpię, że dołożą starań wszelkich, by zamiar swój urzeczywistnić. Wtedy właśnie, wy, szlachetna mniejszość, i wy, obojętna większość, winniście zacząć płacić „inwalidzkie długi".

Żet.

Sprawa inwalidzka w Polsce.

Organizacja Związku Inwalidów Wojennych Rzplitej Polskiej.

Korzystając z uprzejmości p. Zygmunta Szymańskiego, przewodniczącego Warszawskiego Zarządu Wojewódzkiego Związku Inwalidów Wojennych R. P., członka Zarządu Głównego (Wydziału Wykonawczego), zadaliśmy mu szereg pytań, dotyczących całokształtu sprawy inwalidzkiej w Polsce, i nie wątpimy, że w skrócie koniecznym podane tu jego odpowiedzi zaspokoją ciekawość czytelnika i zapoznają go z tem wszystkiem, co o inwalidach w Polsce wiedzieć powinien. Pierwsze nasze pytanie brzmiało:

Kiedy i w jakich okolicznościach powstał ogólny związek inwalidów w Polsce?

W Polsce istnieje obecnie jedna wielka organizacja inwalidzka. Fakt ten trzeba podkreślić silnie i zapisać na dobro Polski. W innych państwach bowiem (Francja, Niemcy i t. d.) rozbili się inwalidzi na cały szereg różnych organizacyj, zwalczających się nieraz zażarcie na gruncie politycznym, a przeto nie stanowiących zwartej siły państwowo-twórczej. Organizacja polska jest siłą jednolitą, zawsze, jak dotąd, umiejącą rozumnie, a często ofiarnie, godzić interes państwa z interesem inwalidów, jest przeto siłą twórczą. Powstała już w kwietniu 1919 r. (12—16, zjazd w Warszawie) drogą zjednoczenia kilku organizacyj dzielnicowych o podobnym charakterze, a mianowicie: Związku Inwalidów Wojennych w Polsce z siedzibą w Krakowie, Centralnego Związku Inwalidów Wojennych R. P. z siedzibą w Warszawie, Gospodarczego Związku Wielkopolskich Inwalidów Wojennych z siedzibą w Poznaniu i Związku Kalek Wojennych i b. Wojaków Polaków w Gnieźnie.

Z organizacyj wymienionych Centralny Związek Inwalidów Wojennych, obejmujący tylko b. Kongresówkę, powstał w listopadzie r. 1918 (po wypędzeniu Niemców), wzorował się ogólnie na Związku inwalidów w Piotrogrodzie, i nie posiadając szerszej ideologji, ograniczał się na razie do pośrednictwa pracy i uzyskiwania zapomóg dla bezrobotnych. Założycielami i pierwszymi jego członkami byli: ś. p. S. Nowacki, E Zdanowski, S. Truszyński, Adamowski, E. Miller, Klaus, Czajkowski, S. Mierzejewski i B. Frankowski. Gospodarczy Związek Wielkopolskich Inwalidów Wojennych w Poznaniu powstał przez oderwanie się od związku niemieckiego w 1918 Polaków-Inwalidów, a z twórców jego szczególne, obok innych, zasługi położyli M. Jakubowski, Stachecki, Organiściak i inni.

Związek w Gnieźnie założyli uczestnicy walk o wyzwolenie Wielkopolski. Znamienną i ciekawą jest historja Związku Krakowskiego. Tworzyły go grupy najrozmaitsze, które za czasów austrjackich walczyły z zaborcami, zgoła nie dbając o własne interesy. To członkowie właśnie tych grup, po traktacie brzesko-litewskim, rzucali publicznie w błoto

Krakowa medale i krzyże nadane im przez zaborców, i dali inicjatywę do protestu zaiste imponującego, który wstrząsnął całą Polską i był groźnem memento dla zaborców. Z działaczów tego związku, po zjednoczeniu się organizacyj dzielnicowych, weszli do Zarządu Głównego pp. Kikiewicz i Dackow.

Zasady organizacji.

Obowiązujący dziś statut Związku uchwalony został przez Czwarty Zjazd Delegatów Inwalidów Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie w dniu 1. VII. 1922 r., poprawiony przez V-ty Zjazd Ogólny w 1923 r. i ostatecznie zatwierdzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w czerwcu 1923 r. Siedzibą władz naczelnych Związku jest Warszawa, terenem działalności całe Państwo. Celem uzyskania praw, należnych inwalidom i ich rodzinom, oraz rodzinom poległych, obrona ich gospodarczych, moralnych i prawnych interesów, oraz szczególniejsza piecza nad najnieszczęśliwszemi inwalidami i ich rodzinami.

Zwyczajnym członkiem Związku może być każdy inwalida wojenny, obywatel polski (także weteran powstań narodowych), wdowa po poległym i rodzice, pobierający rentę wojenną. Członkiem nadzwyczajnym może być sierota po poległym, były wojskowy (lub członek jego rodziny), członek rodziny żyjącego inwalidy, inwalida pracy i członkowie jego rodziny, wreszcie rodziny powołanych do służby wojskowej i do świadczeń wojennych. Członkiem honorowym wreszcie może zostać osoba, wybitnie zasłużona dla sprawy inwalidzkiej, a wybrana większością 3/4 głosów Zjazdu Delegatów.

Na czele całego Związku stoi Zarząd Główny, najmniejszem zaś ogniwem organizacji jest grupa, obejmująca przynajmniej piętnastu członków. Członkowie Związku w danym powiecie tworzą Koło powiatowe, z Zarządem na czele. W razie potrzeby jednak mogą powstawać także na terenie jednego powiatu różne koła miejscowe, lub też nastąpić może połączenie kilku powiatów w jedno Koło Okręgowe. Za zezwoleniem zaś Wydziału Wykonawczego i w myśl uchwały Zjazdu delegatów danego terytorjum mogą być tworzone Zarządy Wojewódzkie i t. p.

Najwyższą zaś władzą Związku jest Ogólny Zjazd Delegatów, odbywający się zazwyczaj w lutym lub marcu, a zwoływany przez Wydział wykonawczy. Jest to Zjazd zwykły. Nadzwyczajny może być zwołany w każdym czasie, bądź z inicjatywy Wydziału wykonawczego, bądź w myśl uchwały Rady Głównej, albo wreszcie na żądanie 2/3 Wydziałów Kół przedstawiających przynajmniej 50% zwyczajnych członków Związku. Zjazd jest ostatnią instancją we wszystkich sprawach Związku, uchwały zapadają większością głosów, w razie równości głosów wniosek upada. Zjazd rozpatruje i zatwierdza sprawozdania, budżety i preliminarze Wydziału Wykonawczego, Rady Głównej oraz Komisji Kontrolującej; wybiera członków Wydziału wykonawczego i wybieralnych członków Rady Głównej, oraz Komisji Kontrolnej; zatwierdza instrukcje wydane przez Wydział wykonawczy; uchwala zmiany regu-

laminu Związkowego i zmiany statutu Związku; rozpatruje i rozstrzyga wszelkie wnioski; rozpatruje skargi na nieprawidłowe działania Wydziału Wykonawczego, i jest mocen większością 2/3 członków usunąć członków Wydziału i Rady przed upływem kadencji; zatwierdza utworzenie nowych instytucyj Związku; rozstrzyga wszelkie spory; określa stanowisko Związku na zewnątrz.

Najwyższa władza wykonawcza należy do Wydziału wykonawczego, wybieranego co trzy lata. Ten Wydział składa się z 15-tu rzeczywistych członków Związku, wybranych przez Ogólny Zjazd Delegatów, przyczem ustępujący członkowie Wydziału mogą być wybierani ponownie. Stałą siedzibą Wydziału jest Warszawa.

Wydział wybiera z pośród siebie przewodniczącego, sekretarza, skarbnika, oraz kierowników Oddziałów. Przewodniczący jest moralną i rzeczywistą głową Związku, i posiada znaczne prawa i pełnomocnictwa. On też (wraz z sekretarzem i skarbnikiem) reprezentuje Związek na zewnątrz.

Najwyższym organem kontrolnym, a nawet zastępczo-prawodawczym Związku, jest Rada Główna, składająca się z 66 członków, a mianowicie: 15-tu członków Wydziału wykonawczego (ci nie mogą jednak sprawować kierowniczych funkcyj w Radzie), — 35-ciu członków, wybranych przez Zjazd Ogólny Delegatów z poza członków Wydziału wykonawczego i Komisji Kontrolującej, z pomiędzy których następnie wybiera się przewodniczącego Rady Głównej, jego zastępcę, sekretarza i t. d., — i wreszcie z 16-tu przewodniczących Wydziałów Wojewódzkich.

Zadaniem Rady Głównej jest: (cytujemy tu dosłownie słowa statutu) „*dbać i starać się w obliczu i poczuciu odpowiedzialności moralnej tak przed masą krwawych ofiar wojny, jak przed społeczeństwem i przed nieubłaganym sądem przyszłych pokoleń, aby idea związkowa przez złość i nieuczciwość jednostek na szkodę narażoną nie została i nie uległa skażeniu. Rada Główna ma strzec zasady czystych rąk, prawości, uczciwości i obowiązkowości, ma przeciwdziałać wszelkim zgubnym, rozkładowym prądom w organizacji, ma starać się o to, by organizacja nasza była ostoją uczciwości, pracy, idei solidarności i sprawiedliwości społecznej, wogóle, by organizacja ta mogła odegrać i rzeczywiście odegrała tą doniosłą dziejową rolę skrystalizowania w społeczeństwie ideału krwawych ofiar wojny, do jakiej ją duch czasu powołał.* Ma dążyć do tego, by inwalidzi rzeczywiście otrzymali pełne wynagrodzenie za straty krwawej wojny, by rodzinom poległych odszkodowano poniesioną stratę i by masa krwawych ofiar wojny objęła rolę twórczego czynnika społecznego. Do wykonania tego ma Rada Główna dążyć wszelkiemi środkami uznanemi i nie sprzeciwiającemi się statutowi".

Komisja Kontrolna wreszcie, składająca się z 5-ciu członków i tyluż zastępców, wybranych przez Ogólny Zjazd Delegatów, ma prawo i obowiązek kontrolować całą działalność Związku, i zdawać sprawę ze swej działalności Ogólnemu Zjazdowi, stawiając wniosek na uchwalenie lub

odmówienie absolutorjum Wydziałowi wykonawczemu.

Sądy Koleżeńskie Związku posiadają dwie instancje: a) sądy przy każdem Kole, b) Główny Sąd przy Zarządzie Głównym w Warszawie.

Sądy te mogą orzec wykluczenie ze Związku, które jest równoznaczne z wyłączeniem ze społeczności inwalidzkiej, wykluczenie takie może nastąpić tylko na zawsze.

Uchwała rozwiązująca Związek może zapaść na Ogólnym Zjeździe Delegatów przy obecności 3/4 delegatów większością 3/4 obecnych. Ten likwidujący Ogólny Zjazd Delegatów zarządzi, co ma się stać z majątkiem Związku. W razie, gdyby liczba członków zmalała do 200, Związek automatycznie przestaje istnieć, majątek jego przechodzi na fundusz zapomogowy i stypendyjny, tak dla reszty pozostałych członków, jak dla rodzin po zmarłych członkach. Archiwum wygasłego czy rozwiązanego Związku staje się własnością Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

I jeszcze jedno, bardzo ważne: Związek, jako taki, jest organizacją bezpartyjną, apolityczną, choć, oczywiście, członkom swoim w życiu politycznem żadnych ograniczeń nie narzuca.

Liczebność, majątek, wsparcie rządu, wsparcie społeczeństwa.

Związek liczy obecnie około 400 000 członków. Cyfra ta obejmuje inwalidów, oraz wdowy po poległych i po inwalidach. Majątek Związku jest jeszcze bardzo niewielki. Mamy już wprawdzie cały szereg warsztatów pracy, jak np. w Warszawie warsztaty koszykarskie i rymarskie, fabryka mebli (przejęta od Ministerstwa pracy i opieki społecznej), warsztaty introligatorskie i inne, w Płocku, Bydgoszczy, Łowiczu, Poznaniu, Łodzi, mamy także spółdzielnie spożywcze i wytwórcze, lecz niestety — warsztaty te nie są jeszcze w możności zatrudnić większej ilości ludzi. Wogóle gospodarcza strona organizacji inwalidzkiej rozwija się powoli. Jedynie w b. zaborze pruskim jest lepiej. Dzieje się to przedewszystkiem dzięki przychylnej postawie wielkopolskiego społeczeństwa, a także zwartości i wyszkoleniu organizacyjnemu samych inwalidów.

Poparcie rządu wyraża się (i wyrażać się powinno) przedewszystkiem w wypłacie renty. Otóż, z podanej wyżej cyfry ogólnie zarejestrowanych, pobiera rentę tylko 124000, z zarejestrowanych wdów po poległych (75 000) pobiera rentę tylko 6000, koncesyj osobistych wydano inwalidom 7000.

Ostatnio, dzięki energicznej akcji Związku, Rząd podniósł wysokość renty i przyrzekł rewizję koncesyj. Oby tylko obietnice te nie zostały na papierze podobnie, jak Ustawa z dn. 18. III. 1921 r., która aż do roku 1924 była tylko martwą literą, a i obecnie jeszcze grzeszy ciężko niewprowadzeniem w życie całego szeregu artykułów.

Społeczeństwo (za wyjątkiem Poznańskiego) nie wiele wie i nie myśli o inwalidach. To też instytucje, które współdziałają z Związkiem Inwalidów, ciężki i trudny wiodą żywot. Z instytucyj stołecznych najwięcej żywotności przejawiają: T-wo przyjaciół inwalidów (Marszałkowska 74), i „Latarnia", opiekująca się ociem-

niałemi. Istnieją także: Klub przyjaciół inwalidów (Miodowa 19), T-wo opieki nad sierotami po poległych, oraz Komitet fundacji im. Piusa XI dla inwalidów wojennych. Ten ostatni za pieniądze, zebrane z ofiar publicznych, zakupił akcje, po spieniężeniu których nabył kolonję z dworkiem pod Jabłonną, lecz dotychczas nic Związkowi nie donoszono, czy i kto z niej korzysta.

Wielką wdzięczność inwalidów zyskało sobie T-wo pomocy inwalidom w Poznaniu. Jest ono bardzo czynne i żywotne. Podkreślić należy, że jest ono na terenie poznańkim jedno a więc zwarcie i zgodnie działające, podczas gdy w b. Kongresówce istnieje tych towarzystw cały szereg, które-niestety — albo nic nie robią, albo też psują sobie wzajemnie rozpoczętą pracę.

W Krakowie istnieje T-wo zagród włościańskich dla inwalidów im. T. Kościuszki pod przewodnictwem gen. Hallera, ale czy i co robi, tego, zdaje się, nikt wogóle nie wie.

Wszystkie te więc towarzystwa okazywały z początku mniej lub więcej żywą działalność, słabnąc stopniowo, i będąc wiernem odbiciem nastrojów społeczeństwa, które zapomniawszy już o r. 1920, zapomniało też o inwalidach.

Prądy i nastroje w łonie organizacji inwalidzkiej.

Związek, jako taki, o czem już wspominaliśmy, jest bezpartyjny, apolityczny, a więc na terenie politycznym nie działa. Dążąc do zaspokojenia moralnych i materjalnych potrzeb swych członków i ich rodzin, związek za najwyższy punkt honoru inwalidów wojennych w Polsce uważa zdobycie w społeczeństwie stanowiska czynnika twórczego, i zmuszenie społczeństwa do traktowania inwalidy, jako równouprawnionego obywatela. Dotąd było (i jest jeszcze) inaczej. Zamiast uważać inwalidę za obrońcę wolności, traktuje się go niechętnie, często źle, i uważa się go za jakby upośledzonego członka społeczeństwa.

W życiu politycznem i ogólnem inwalidzi zwalczają militaryzm stanowczo i bez względu na to, z której strony się zjawia.

Potrzeby palące.

Tych jest wiele, tych jest bardzo wiele. Inwalidzi pragną, by ustawa z 18. III. 1921 r. była nareszcie ściśle wykonywaną, by nastąpiła rozumna rewizja koncesyj, która może dać utrzymanie i pracę wielu inwalidom, by nareszcie rozpoczęto na wielką skalę rozbudowę warsztatów pracy, by dano ich dzieciom możność nauki (ułatwienia w szkołach państwowych), by wzniesiono w stolicy dom inwalidzki, w którym skupićby się mogło kulturalne i gospodarne życie ofiar. W tych-to przedewszystkiem najważniejszych sprawach oczekują inwalidzi poparcia ze strony Rządu, społczeństwa i prasy.

Dom inwalidzki.

Wielki dom inwalidzki powinien stanąć przedewszystkiem w stolicy. Skarb Polski podarował już na ten cel plac, a miasto wydzieliło grunt na Żoliborzu. Lecz, oczywiście, mowy być nie może o wniesieniu takiego domu bez udziału Rządu i ofiar ze strony społeczeństwa.

Red.

Istota solidarności inwalidzkiej.

Cierpienia i niedola — wielkie to szkoły życia szlachetnego i twórczego. Kto ich nie doznał — ten staje się zwykle pionkiem bezsilnym na szachownicy bytu ludzkiego lub też wogóle nie dorasta do prawdziwego człowieczeństwa, zatrzymując się na poziomie pierwotności niemal zwierzęcej, choć w ludzką postać przyobleczonej. Ludzie prawdziwie wybitni dla swego narodu i dla ludzkości całej — przechodzili chyba bez wyjątku przez wielkie cierpienia ducha, a nieraz i ciała, — i dopiero po przez tych cierpień mękę stawali się twórcami nowych wartości, za które potomność czci ich pamięć.

Jest więc cierpienie nieodłącznym warunkiem postępu, tak jak w bólu i męce Matki przychodzą na świat nowe pokolenia ludzkie.

Czy jednak wynika z tego, by się cierpieniu przyglądać obojętnie, by mu nie przeciwdziałać, by jego rozmiarów i zakresu nie zmniejszać?

Oczywiście — przenigdy.

Cierpienia bowiem są dwojakiego rodzaju. Jedne naturalne, wynikające z ułomności człowieka fizycznej i duchowej, nierozerwalne z naturą ludzką, zjawiające się prędzej czy później w życiu, nieuniknione nawet przy najsprawniejszej organizacji społeczeństwa. Istnieją bowiem w najgłębszych podkładach indywidualnych i wychowują człowieka w kierunku osiągania coraz wyższej doskonałości moralnej.

Lecz są i cierpienia innego rodzaju. Te, których źródłem nie jest sama natura człowieka, lecz bądź przypadek bądź też ujemna, nienaturalna organizacja życia zbiorowego, niezdolnego jeszcze do oderwania się od poziomu bytowania zwierzęcego, pierwotnego, pozbawionego rzeczywistej świadomości posłannictwa ludzkiego.

Takiemi cierpieniami i taką niedolą — jest los inwalidów wojennych. Wyrósł on na pniu walk morderczych pomiędzy ludźmi, porwanymi przez obłęd tępienia się wzajemnego, w zapomnieniu wszystkich zdobyczy kultury i cywilizacji, w ogniu rozbestwienia, wywołanego przeważnie przez najniższe instynkty chciwości i drapieżności gromadzkiej, których ofiarą stają się bądź niezliczone istnienia unicestwione całkowicie, bądź też niemniej liczne zastępy kalek fizycznych i duchowych, zmuszonych do końca dni swoich dźwigać ciężar i piętno cudzych win.

W położeniu podobnem, tylko po wielokroć jeszcze tragiczniejszem, znajduje się Inwalida polski. Wszak stanął on do boju i poniósł klęskę swego kalectwa bądź za sprawę obcą, zaborczą, wrogą — bądź też w walce bezpośredniej przeciwko katom swej Ojczyzny, nie chcącym

wypuścić Jej ze swych szponów lub też zmierzającym do ponownego Jej ujarzmienia. Ani w jednym, ani w drugim, ani w trzecim wypadku nie spada na Inwalidę polskiego ani cień odpowiedzialności moralnej za sprowokowanie walki. Została mu ona narzucona,— bądź pod przymusem fizycznym, bądź w imię obowiązku Polaka do walki o wolność i niepodległość Ojczyzny, walki, do której stanął ochoczo i mężnie, gotów do najwyższej ofiary życia dla osiągnięcia ideału narodowego.

Z głębszego znaczenia powyższego splotu faktów i okoliczności, rzadko zdają sobie sprawę sami Inwalidzi nasi, a mniej jeszcze ogół społeczeństwa polskiego. Niedola inwalidzka, potrzeby i postulaty inwalidzkie, życie duchowe inwalidów traktowane są tak, jak gdyby chodziło o zwykłe materjalne ubóstwo, o dobroczynność publiczną, która od czasu do czasu zajmuje uwagę społeczną i wymaga zdawkowego zadośćuczynienia. Podobnemu postawieniu sprawy winni są, niestety, i sami Inwalidzi w stopniu bardzo znacznym.

Wysunąwszy—i słusznie—na czoło swych żądań sprawy natury ściśle materjalnej, zlekceważyli oni jednak—i nadal lekceważą—zagadnienia moralne i duchowe stanu inwalidzkiego. Iluż to inwalidów zdobywszy jako tako intratną koncesję i zabezpieczywszy siebie i rodzinę swoją od śmierci głodowej—zerwało wszelkie nici z innymi współbraćmi — inwalidami, porzuciło ich sprawę i przestało się nią interesować. Głosząc szumnie hasło solidarności inwalidzkiej dopóki sami o swój osobisty byt walczyli—łamią tę solidarność natychmiast, gdy osobisty interes materjalny przestaje ich pobudzać do czynu.

Nic więc dziwnego, iż gdy sami interesowani taki dają przykład, szerszy ogół społeczeństwa skwapliwie podąża tą samą drogą.

Sądzę, że nadeszła chwila skupienia się inwalidów nietylko około spraw ich bytu materjalnego, ale nadania również należnego miejsca sprawom ich solidarności moralnej, wzajemnej pomocy i wspierania się w tych troskach i bólach inwalidy, których nie ukoi najbardziej dochodowa koncesja ani najwyższa renta.

Krew i wspólne kalectwo — to więź mocna i zrywać jej nie należy. Inwalidzi materjalnie zabezpieczeni, inwalidzi wykształceni i kulturalni, inwalidzi lżej poszkodowani mają wielkie obowiązki względem swych współbraci ciężej dotkniętych, w mniejszy zasób wykształcenia uposażonych, potrzebujących bratniej dłoni i pomocy nietylko w zakresie potrzeb materjalnych, ale i potrzeb duchowych.

Świat Inwalidów stanowić winien jedną wielką rodzinę, związaną najgłębszą solidarnością wspólnie doznanych cierpień, złączoną wzajemnem zrozumieniem się i potężną wolą zmniejszenia ogólnej sumy niedoli, która na nią spadła.

Dopiero gdy wśród samych Inwalidów polski duch tej solidarności zwycięży, wówczas i lepsza część społeczeństwa odczuje należycie ich potrzeby i wyciągnie do nich serdeczną dłoń bratnią.

Gustaw Simon
Podsekretarz Stanu Rzplitej polskiej.

Z CYKLU „WOJENKO, WOJENKO“

TYM CO POLEGLI...

Tym, co polegli białe niesiem kwiaty,
Cudne jaśminy i purpurę róż...
Skargę dziewczyny niesie wiatr skrzyd-
[laty,
Mogiły strzeże anioł grobów stróż.

W jesienne noce po ciemnym ugorze,
Załka wichura, jak dziewczyny ból...
Wiosną w cichutkie promieniste zorze,
Piosnka przyleci od rodzinnych pól.

Tym, co polegli białe niesiem kwiaty,
Cudne jaśminy i purpurę róż...
Skargę dziewczyny niesie wiatr skrzyd-
[laty
Mogiły strzeże anioł grobów stróż...

SZARĄ GODZINĄ.

Szarą godziną, gdy wszystko zacichnie,
Zwiewna zaduma w ciemnych siada
[kątach,
Droga melodja z dali ku mnie płynie,
Mgłami się ścieląc po uśpionych łąkach,

Najdrosza piosnka o szarym mundurze,
O maciejówce, o dumie żołnierza,
Która lęk zwalcza, wiedzie w krwa-
[we burze,
Jednej piosence myśli swoje zwierza.

Bo żołnierz w piosnce żali się i płacze,
W piosence jednej sławę swoją chowa,
I jest, jak dumni bezdomni tułacze,
A ginie cicho bez żałości słowa.

Szarą godziną, gdy wszystko zacichnie,
Zwiewna zaduma w ciemnych siada
[kątach,
Droga melodja z dali ku mnie płynie,
Mgłami się ścieląc po uśpionych łą-
[kach.

ZAMARZYŁA SIĘ MA DUSZA.

Zamarzyła się ma dusza,
O czeremchy słodkim śnie;
Płacze dziewcze, żołnierz rusza,
I w bój krwawy mężnie mknie

Na zegarze czas wybija,
Długich godzin tęskne dni,
W ciemnym smutku lato mija,
Jesień żółtym listkiem lśni.

Tam na stole porzucony,
Czeremchowy więdnie kwiat,
A głos cichy rozmodlony,
Idzie łkaniem w cały świat.

Wicher jęczy po ugorze,
Z oczów płyną perły łez,
Może wróci — Boże, Boże...
Może znów zakwitnie bez.

I zapachnie kwiat czeremchy,
Porwie wonią w słodki szał —
Pójdą nocą ciche śmiechy,
Swą dziewczynę będzie miał!

Na zegarze czas wybija,
Nieprzespanych nocy jęk,
Jesień złota smętnie mija
Już zimowy płynie lęk.

Lecz gdy zima precz odeszła,
Zabierając chłód i lód,
Wiosna z cudnym majem weszła,
W pokoiku stał się cud!

Od łez tęsknych, łez tysiąca
Czeremchowy ożył kwiat,
Pieśń słowicza wracająca
Obudziła cały świat.

Marja Szmidtowa.

ZAPOMNIANY.

Wre ulica życiem gorączkowem,
Słońce w złotej zatapia ją fali,
Suną tłumy krzykliwe i barwne,
Zabiegliwe, spieszące wciąż dalej...

Wiosna śmieje się słońcem w błękicie,
Wiosna jakby przyspiesza rytm ruchu,
I przewala się, huczy to życie
Jakby w ciągłym, spienionym wybuchu.

Te powozy, karety tramwaje,
Samochody tętniące i lśniące,
Barwne stroje, śmiech, krzyki i wrzawa,
Życie, życie swobodą dyszące!

Lecz ktoś szary tam idzie powoli,
Słońce nędzę ubioru jaskrawi, —
To ktoś idzie, poddany złej Doli,
A kalectwa już nic nie naprawi.

Na wytartej maleńkiej wstążeczce
Krzyż „virtuti“—a ciężar pierś tłoczy —
Zapisane są czyny w „książeczce“,
Ale blaskiem nie gorą dziś oczy.

Wzięła rękę Ojczyzna-kochanka,
I blask oczom młodzieńczym zabrała —
Pomną o tem godziny poranka
Pod Warszawą — gdy grzmiały wkrąg
[działa.

Pomną o tem koledzy i wodze,
Bohaterskie to były godziny!
Że po krwawej kroczyło się drodze
Zapisane w książeczce są czyny!

Lecz „ktoś“ przecie już o tem nie pomni,
Toć „ta wojna“ to dawne majaki --
Żeście byli rycerze niezłomni
„Ktoś“ zapomniał?... O, bracie, kto taki?!

Lecz dlaczego tak kroczysz nieśmiało?
Czemu swoje kalectwo tak kryjesz?
Czemu twarz masz bezkrwistą i białą?
Czy już tylko wspomnieniem dziś
[żyjesz?!

Tak! Pamiętaj, o bracie! Masz prawo!
...Że wracałeś z zwycięstwem i sławą,
Że tłum zmienny obrzucał cię kwiatem!
...Tak! Pamiętaj! Patrz dumnie—Masz
[prawo!

Wiktor Przecławski.

Ostatni dzień w Fezie.

Z przygotowywanej do druku książki „Miraże czarnych władców", zawierającej opis podróży przez północną Afrykę.

Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego.

Poznaliśmy Fez dość dobrze, a że przed nami była jeszcze długa droga, byliśmy zmuszeni jechać dalej na Zachód.

Chcieliśmy jednak raz jeszcze rzucić okiem na całe miasto i jego okolice. W tym celu wzięliśmy powóz i pojechaliśmy drogą, idącą za murami miasta. Znowu wstały przed nami Kazba Czerarda i Filala*), bramy Bab-Maruk i Bab-Guissa, opuszczone forty maurytańskie, cmentarze, kubby, zarośla aloesów i fig berberyjskich, wąwóz z mieszkaniami jaskiniowemi, tłumy tubylców i karawanny wielbłądów, mułów i osłów.



F e z.

Nagle wyłania się całe miasto. Złocisty w promieniach słońca, w oprawie ciemno-szarych, miejscami czerwonych murów, baszt strażniczych, ozdobiony szmaragdowemi plamami ogrodów i strzelającemi do góry, połyskującemi mozaiką minaretami — w kotlinie leży Fez. Nie widać stąd ruchu ulicznego, nie słychać odgłosów życia. Zamarły w swych granicach, lecz tający

*) Dwa forty w Fezie.

nieobliczalne siły i porywy, gród Idrissa wydaje się mirażem, widmem, zrodzonem wyobraźnią, którą pobudza stara, bohaterska legenda, opowiadana przez czarownika.

Nic z rzeczywistości, nic z codziennego życia dojrzeć stąd nie można! Dekoracja, wypukła panorama, fantazja malarza i rzeźbiarza, porwanych urokiem Wschodu. Stoimy w milczeniu, zapatrzeni, zasłuchani w szept wieków, płynący od minaretów Mulej Idrissa, Karuin i Bu-Anania, od zębatych, poszczerbionych murów, od wyniosłych grobowców Merinidów **).

Nagle przeciągły, trwożny krzyk rozlega się tuż pod nami.

Postępujemy kilka kroków i widzimy głęboki wąwóz z dwoma olbrzymiemi jaskiniami. Z jednej wychodzi dym, około drugiej mężczyźni i kobiety z owiniętemi brudnemi płachtami twarzami fabrykują misy i garnki z gliny; błąka się para osłów, a dwa duże, chude psy żałośnie wyją. Przy nizkiej szopie drewnianej stoi Berberka bez burnusa, w barwnej koszuli i spódnicy, bosa, z powichrzonemi włosami, przez które połyskują olbrzymie srebrne kolczyki. Trzyma jedną ręką małą dziewczynkę, a drugą przykłada do ust i, patrząc w stronę krzaków, grobowców starego cmentarza i skał, woła trwożnie i żałośnie:

— Aszika! Aszika-a-a!

Nikt się nie odzywa i nikt się nie



Fez. Przed meczetem.

**) Dawna dynastja sułtanów Marokańskich.

zjawia na głos matki ani z krzaków ani z poza skał. Więc zatrwożona losem córki, już przeczuwając nieszczęście, kobieta znowu nawołuje:

— Aszi-ika! Aszika-a!

Słucha, patrzy i czeka. Żadnej odpowiedzi... Więc podbiega do samej krawędzi kotliny, tam, gdzie nadół zbiega ledwie dostrzegalna ścieżka, i pochyliwszy się, usiłuje wzrokiem przebić gąszcze zarośli i wyje, jak głodna wilczyca:

— Aszika-a-a! Aszika-a-a!...

Dokoła kaskady słońca potężnego i tryumfującego, fata-morgana miasta, połysk jego minaretów, wybujała roślinność, szmer potoków, poezja i majestat dawnych, wspaniałych dziejów...

Lecz gdzie się zjawi żywy człowiek, tam niby cień, staje męka jego, rzeczywistość surowa i nieubłagana, walka, łzy i rozpacz...

Dalej! Dalej!

Turkoczą koła po kamieniach drogi, dzwoni, skacząc na nich powóz i już nie słychać wycia i rozpaczliwego nawoływania matki-Berberki. Droga idzie śród pięknych ogrodów i gajów, zbliżając się do wartkiego prądu rzeki lub odbiegając od niej, w cieniu drzew stoją białe kubby*), a obok nich grupy pobożnych; mignął śród zieleni stary garbaty most arabski z parapetem z ciężkich głazów ciosanych; szemrzą fontanny, donoszą się głośne westchnienia pijących wodę koni i wołów i ciche słowa ludzi. Na lewo od nas—równina z kwadratami pól, ruiny starego fortu, a tuż u stóp góry Zalagh białe budynki o nizkich murach

*) Kaplica—grobowiec.

z małemi wieżyczkami po rogach. Są to blokhauzy wojenne francuskie.

Około jednej z bram na kamieniu siedzi poważny Arab w śnieżno białych szatach i w zawoju. Długa czarna broda spada mu na pierś. Dokoła zasłuchany tłum. Zawinięte w burnusy i haiki*) kobiety, starzy bogaci i biedni mężczyźni, meskini**), tolba***), młodzieńcy ze wsi —wszyscy słuchają. Biegają dzieci z długiemi kosmykami włosów pozostawionych na ogolonej głowie albo na samym jej wierzchu lub nad uchem; kosmyk ten nieraz jest zapleciony w warkocz; przypomina „oseledec", noszony dawniej przez kozaków z Donu i przez szlachtę polską kresową. Jest to talizman, przynoszący szczęście. Cały tłum zachowuje spokój nadzwyczajny i w skupieniu słucha siedzącego Araba. Jest to bard — opowiadacz.

Właśnie opowiada coś, doskonale modulując głosem, i deklamując wyraziście i z artyzmem. Nasz przewodnik — Hafid opowiedział nam treść improwizacji Araba.

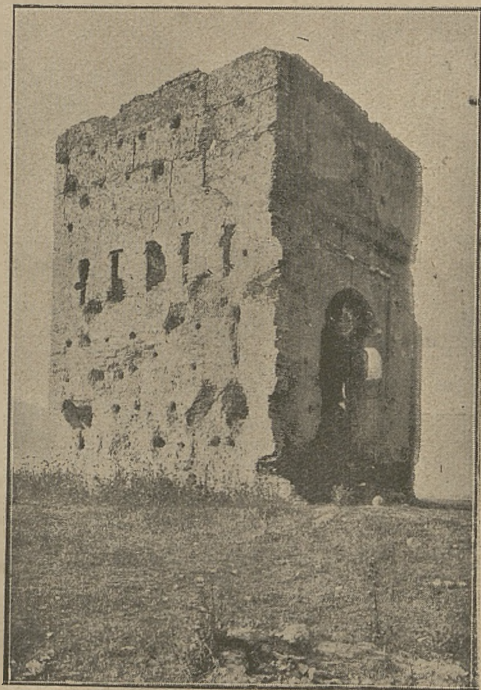
— Wielki jest Allah i wielki jest prorok jego Mohammed! Lecz byli inni, wybrani przez Pana, a potęgą swoją dorównywali Allahowi. Takim był syn Nuna, olbrzym, którego zwłoki nie zmieściły się pod meczetem, a który postawił grzbiety górskie w miejscach potrzebnych. Takim był Mulej Abd es-Selam, pomagający Allahowi w budowie świata i twórca wiary w jednego Boga. Takim był Ali Ambausz, potężny

*) Zasłona, narzucana na twarz przez kobiety muzułmańskie.

**) Żebracy.

***) Studenci.

jak Prorok; takim był „ukryty Imam" Abd-Allah, kość z kości i krew od krwi Mahommeda—Proroka. Zawsze są tacy wybrańcy, aby wolę Allaha głosili i wskazywali „przyjście godziny". Oczy ich zaglądają do duszy ludzi, słowa padają do serc, myśli zmuszają do czynu. Zjawiają się nagle, i nikt przedtem nic o nich nie słyszy. Idą przez życie, ślady niezatarte wyciskając na radość wiernym i na biedę niewiernym. Zjawił się na północy wybraniec Boży, i echa jego czynów biegną po ziemi jak odgłosy burzy. Zjawił się na wschodzie drugi, który przyszedł sądzić dobre i złe sprawy w imieniu Allaha, poprzedzając przybycie Zbawiciela wiernych. Patrzcie dokoła oczami duszy waszej, słuchajcie uszami serca waszego i nie zaśpijcie godziny przybycia Wysłańca!...



Maurytański fort w Fezie.

Tak tłomaczył nam słowa barda Hafid i objaśnił, że to jest zwykła przypowieść, po której następuje samo opowiadanie, zwykle historyczna legenda o dawnych władcach, lub słynnych „Uali"*).

*) Świętych.

Jednak zdawało mi się, że ta „przypowieść" miała związek z tem co się działo na północy Afryki w Riffie, i na wschodzie—w Egipcie i jeszcze dalej—już na kontynencie Azji. Była to zawiła, ukryta tym czasem, symboliczna agitacja na rzecz Abd-el-Krima*) i budzącego się do czynu Islamu. Tak rozumiałem słowa malowniczego Araba o poważnej, natchnionej twarzy i mądrych oczach.

Gdy wjechaliśmy na pagórek, Fez odkrył się nam z innej strony. Był cały różowy, ciepły i łagodny, tonący w promieniach już chylącego się ku zachodowi słońca.

Myśli moje biegły w stronę meczetów, grobowców, i medersa **), gdzie czaiła się w ukryciu dusza Islamu.

Nie! Islam nie jest nieruchomy, uśpiony lub martwy. On wierzy w przeznaczenie, a więc pozostaje w milczeniu i cierpliwości, spokojny, surowy i wyrozumiały zarazem. Lecz gdy „przyjdzie godzina", w której wierni zrozumieją, iż przeznaczenie

*) Powstańczy wódz, walczący z Hiszpanami w Riffie.

**) Medersa — uniwersytet.

wymaga czynu, lub gdy tę konieczność działania objaśni im człowiek z północy, czy od wschodu, — znikną jak mgła poranna cierpliwość, spokój i wyrozumiałość.

Zostanie surowość Proroka. A przecież ci ludzie, co mieli objaśnić i obudzić, już przyszli! Widziano ich w wirze rewolucji w Persji i Turcji, w ruchu muzułmańskiego Afganistanu. Wielka wojna światowa, kolonjalna polityka białych ludów i upadek ich potegi i uroku dały nowe hasło „zbliżającej się godziny".

Islam nie ma w swej duszy cech ewolucji, jest szeregiem skoków rewolucyjnych w swych przejawach zewnętrznych. Jednolitość myśli tworzy mocną i rozległą organizację, pietyzm podtrzymuje poryw, czyniąc go długotrwałym. Muzułmanie są wytrzymali fizycznie i duchowo, gdyż mają jako koczownicy, wojownicy i drobni rolnicy małe zapotrzebowania życiowe. Przyszli tu z jałowych, opustoszonych płaszczyzn Azji, znaleźli lepsze warunki bytu i lepszego życia nie pożądają, broniąc go jednak, jako zdobytego uporczywą walką i wielkiemi trudami.

Ziemię swoją, paloną przez słońce, ziemię — to wysychającą na kamień i pękającą, to pokrywającą się barwnemi kobiercami kwiatów, i wspaniałej trawy, kochają, bo ją zdobyli krwią, bo ona ich żywi, bo ona dała przytułek prochom Władców, wodzów, proroków, świętych, uczonych i czarowników.

Jednak burze dziejowe nosiły się nad temi szczepami i szalały na ich ziemi, niszcząc dobytek i życie pokoleń, więc są obojętni dla nędzy i z wolą niezłomną zabierają się na nowo do budowy swego skromnego i prostego życia, wierząc w przeznaczenie, co ma doprowadzić „wiernych" do potęgi, bogactwa, świetności i szczęścia.

Islam nie umarł, on nawet nie spał, on milczał i czekał.

Teraz nie milczy i tu i owdzie nie chce już czekać.

Nastała godzina wołająca do czynu...

Gdy tak myślałem, nagle Fez zgasł. Słońce zapadło za górami i miasto leżało przede mną szare, ponure, wtłoczone w kamienne więzy murów...

Było to ostatnie wrażenie od grodu Mulej Idrissa.

Nazajutrz nasz samochód stał już o 6-ej rano przed hotelem „Tranzat", a szofer umiejętnie układał nasze bagaże.

Ferdynand Antoni Ossendowski.

Miasto.

(Fragment opowieści o człowieku głodnym)

To była chwila doprawdy niezwykła.

Niebo na zachodzie, które dotąd jaśniało nikłą różaną smugą, zapłonęło nagle krzyczącą, bujną czerwienią. Strzępiaste grzywy żółtawych chmur przesyciły się gdyby krwią żywą, i krwawy ten odblask padł na nędzną uliczkę przedmieścia, która z ohydnej przeobraziła się teraz w posępną i niemal groźną. Czarne dotąd kałuże cuchnącej wody zagrały ponurą purpurą światła, a nierówne kupy błota zaiskrzyły się tysiącami drobniutkich iskierek. Pokrzywione, zapadłe w ziemię domy, szyby w zczerniałych, powyginanych ramach, brudne, szare ściany i powyszczerbiane kominy, i dziurawe, omszone dachy— wszystko to, rzekłbyś, ożywiło się, drgnęło, i przemieniło w tym złowróżbnym blasku. Od płonącego nieba zstępowała niewiadoma groza i w władczem milczeniu obejmowała nędzę dookolną w straszliwe posiadanie. Hen, wysoko dział się codzienny cud wiosennego zachodu, i w obliczu tego barwnego, radosnego cudu tem bezczelniej szczerzyła żółte zębiska ohydna nędza człowiecza. Najlżejszy powiew nie rozpędzał gryzącej woni odpadków i wszelakiej zgnilizny, błogosławiony mrok nie okrył jeszcze ruin domków, rozpadających się desek, pomiędzy któremi mieszkali jednak ludzie.

Duszne milczenie przytłoczało całą okolicę, i zda się, w tem milczeniu dopełniały się ostatecznie jakieś śmiertelnie smutne sprawy. Zwidywały się zmęczonemu wzrokowi, — w chwili, gdy powieki bezwolnie opadły, — wielkie czarne, beznadziejnie tęskniące oczy, — oczy śmiertelnie chorego olbrzyma, — oczy, którym już dawno, dawno łez i blasku zabrakło,— a mózg nadarmo się silił odgadnąć znaczenie tej wizji.

Strudzone, gdyby kloce z ołowiu ciężące dziś nogi, przyrosły do kamieni twardych trotuaru, a kamienie te paliły stopy. Opadły ręce bezsilnie i opadła głowa. Duszne milczenie przytłaczało. Z otchłani duszy wypełzła groza. Z krwawiących kałuży wody szyderczy błysnął lęk.

A niebo żywą broczyło krwią, i żywą purpurą straszliwych łez zalewało nędzę uliczki.

Mrok i chaos panowały w mózgu. Serce, pracujące w ogromnem wysileniu, oddawało myślom wszystką krew, i w tem wysileniu odbywała się szybka, jedyna, ważna praca, praca, której uwieńczeniem miało być przewidzenie. Najlżejszy szmer nie przerywał tej pracy. I już zdawało się, że mrok mózgu rozświetli wreszcie jaskrawa błyskawica, gdy nagle duszną ciszę roztrącił i jakby błyskiem przeszył przeraźliwy, cienki i piskliwy, przeciągły krzyk świstawki. Trwał długo. Napełnił powietrze szybkiem, drażniącem niewymownie drganiem, krzyczał niecierpliwie i napastliwie, aż wreszcie jakby się dźwignąwszy do swego najwyższego tonu, zamilkł nagle, gwałtownie bez

echa. To w pobliskiej fabryce skończono dzień pracy.

Chciałem już odejść. Podniecenie mózgu (i duszy) zostało zabite tym świstkiem, chaos myśli, które miały może urodzić wirującą gwiazdę idei (celu życia?), zapadł w jakieś tajemne skrytki, i znowu oto byłem najzwyklejszym pod słońcem człowiekiem, bardzo zmęczonym i słabym, o, bardzo, bardzo zmęczonym. Obolałe stopy, obute w stare, podarte trzewiki, przyrosły jakby do bruku, bezsilne ręce ciężyły jak kłody, a w skroniach biły bez przerwy malutkie, kolące młoteczki. Z trudnością dźwignąłem głowę. Z najwyższym wysiłkiem przetarłem zapylone oczy, i z przerażeniem pomyślałem, że muszę iść nazad, daleko, bardzo daleko, po twardym, nierównym bruku, przez ulice, na których niema ławek i na których niema przyjaciół.

A tymczasem gwizdek fabryczny ożywił całą uliczkę. Skrzypiące drzwi parterowych domków otwierały się z suchym trzaskiem, i na próg wychodziły nędznie odziane niewiasty i wybiegały wrzaskliwe, w łachmanach dzieci. Niewiasty były stare i młode, tęgie i chude, przystojne i brzydkie, lecz wszystkie jakby jednakie. W wszystkie oczy zajrzała już nędza, wszystkie twarze rzeźbiła ciemnota i namiętność. Na wszystkie twarze padał odblask trwającej purpury zachodu, lecz nawet ten krwawy odblask, który przemienił wygląd kałuży i błota, nie zdołał zatrzeć na tych nieszczęsnych twarzach straszliwie wspólnej cechy tępoty.

W głębi uliczki zadudniły kroki. Zmieszaną gromadą, krokiem wolnym i osłabionym, szła grupa szarych robotników. Bezwolnie poszedłem naprzeciw.

Purpurowe światła zachodu padły na znużone, zczerniałe, pobrużdżone twarze. Twardym blaskiem stali zagrały znagła oczy. Dźwignęły się czarne głowy, na tęgich osadzone karkach. Rozprostowały się szerokie ramiona, zagrały pod bluzami wyrobione, bujne muskuły. W jakiś twardy rytm zmienił się krok powolny, i w rytmie tym, zda się, dudnił marsz bojowy. Jeden z tych niewolników maszyny, próżną wojnę z maszyną prowadzących, mówił coś spokojnym i twardym, a przecież łagodnym głosem. Spojrzałem chciwie w twarz przemawiającego.

Nie było w niej nic niezwykłego. Suty wąs czarny osłaniał czerwone wargi, na pełnych policzkach płonął rumieniec zdrowego zapału. Czapkę maciejówkę miał głęboko nasuniętą na czoło, a patrzał jasno-niebieskiemi, przejrzystemi jak woda oczyma. Wtych oczach jednak była jakaś siła. Uczułem ją i poznałem nieomylnie, gdym znagła a szczerze spojrzał w jego oczy. Nieznajomy cicho się uśmiechnął, kiwnął głową i przeszedł mimo, wysoki i silny. I ja poczułem wtedy przypływ nowy siły.

* * *

Już przeszło miesiąc nie jadłem obiadu. „Właściwie” nie jadłem także ani śniadania, ani kolacji i żyłem czem Bóg dał, zstępując z dniem każdym w coraz beznadziejniejszą nędzę. Były to najgorsze miesiące mego życia. W pogoni za zarobkiem traciłem wszystkie, zdobyte nocnym, niespokojnym snem siły, a często mijał cały, długi tydzień, w ciągu

którego nie zarabiałem nawet na funt chleba. Poznałem się przeto z najnikczemniejszymi lichwiarzami tego potwornego miasta. W ich ponurych lokalach na trzecich, czwartych piętrach, w posępnych suterynach, lub niepozornych, wilgotnych sklepikach pozostawiłem powoli wszystko: książki, bieliznę, kołdrę, poduszkę, wreszcie odzienie, a wreszcie nawet ostatnią koszulę. Nastawiałem przeto kołnierz starej, wyszarzanej kurtki. zapinałem szczelnie wszystkie guziki, i udawałem... zaziębionego. Żal się Boże! Kwietniowe dni były jeszcze bardzo chłodne i chmurne i człowiek zaziębiony powinien był chodzić w płaszczu, Ale płaszcz... Pamiętam doskonale: płaszcz zapłacił komorne, kupił bardzo znaczną ilość chleba i bułek, i wystarczył na dziesięć obiadów. Ale to było już bardzo, bardzo dawno, jeszcze przed dziesiątym marca, a dziś, o ile się nie mylę, mamy już 16 kwietnia! Utrata płaszcza była zresztą zmarnowaniem ostatniego mego kapitału. Był mi w tych czasach wszystkiem. Kołdrą, odzieniem, i nadzieją. Bez nadziei zaś... wiecie...

Tak, teraz było już zupełnie źle.

W wywieszonej za szybą redakcyjną gazecie przeczytałem, że bezrobotnym, którzy się wylegitymują, wydaje Urząd pracy rządowe zapomogi. W mózgu miałem chaos, na wargach gorączkę, a szum ustawiczny w uszach wróżył źle. Poszedłem.

Przejść trzeba było przez wielki plac targowy, obok potężnych budynków sklepowych, przez tłum ludzi sprzedających i kupujących. Zawirowały w mych oczach stosy mięsiwa, kartofli, jarzyn, chleba i bułek! I bułek! Były maleńkie, rumiane, świeże. Ich zapach wtargnął we mnie niby żądza, niby burza. Rój rozwirowanych płatków czerwonych otoczył moją głowę, a słabość, bliska omdlenia, podcięła znagła nogi. Zatoczyłem się bezwładnie, i oto— wyobraźcie to sobie wykarmieni, syci ludzie — ja, głodny i wymęczony, znalazłem się tuż, tuż obok straganu, na którym piętrzyły się stosy, stosy pieczywa! Dość było wyciągnąć rękę. Dość było skorzystać z chwilowej nieuwagi starej właścicielki-baby, dość było wyciągnąć rękę.

Lecz nie uczyniłem tego. Wierzcie mi, żem tego nie uczynił. Fala krwi rozpaliła mi policzki, ręce głęboko, głęboko zasunąłem w obdarte kieszenie mej nędznej kurtki, i odszedłem stamtąd krokiem chwiejnym i powolnym. Myślałem: niech zdechnę jak pies, jak pies...

Dlaczego tak?...

Oh, doprawdy nie wiem!

* * *

Przed niskim, szarym domem tłoczył się cicho gwarzący, szary, smutny tłumek. Po lewej przewalała się i kłębiła w sobie gromada robotników, niespokojna i czujna, ale pewna siebie, po prawej stał cierpliwie tłumek inteligencji, o którym można powiedzieć, że nie miał wyrazu. Krzywe, drewniane drzwi, prowadzące do wnętrza tego urzędu, który powinien być błogosławieństwem ludności, skrzypiały nieznośnie, i jakgdyby tą zgryźliwością odbierały pewność nadziei. Jednak wszedłem. Przedewszystkiem osunąłem się na brudną ławę, stojącą pod, również

brudną, ścianą, i przymknąłem oczy. Jakieś bezmyślne a wrzaskliwe: Boże daj! Boże daj! huczało w moim mózgu, a w ciemności, pod powiekami, bielała i różowiła się świeża bułka za kilka groszy. Nagle usłyszałem:

— A pan co?

Otworzyłem oczy. To woźny. Był poważny i pełen urzędowej (czy też urzędniczej) dostojności. Pochylał ku mnie twarz ogromną i patrzał wyłupiastemi, piwnemi oczyma. Zaraz zauważyłem, że miał zdrowe rumieńce na swych tęgich policzkach, a w brudnych palcach trzymał bułkę z szynką, i — o, dziwo — zdjęło mnie nagłe onieśmielenie. Z trudem powstałem i bąknąłem:

— Mam interes do urzędu...

— To się wie. Ale jaki?

— Jestem bez pracy.

— Hm... Toś pan nie pierwszy, ano i nie ostatni. Strasznie te inteligencje tera przycisnęło. Już lepiej być robociarzem, albo, nie przymierzając, człekiem związkowym. Niby być w związku zawodowym. Nie ruszą. Sam minister nie ruszy. Wiadomo. No, i dawno jesteś pan bez pracy?

— Czwarty miesiąc.

— Fi! To źle, o, niedobrze. No, to się pan musisz zarejestrować.

— Aha.

— Ano, niby tak. Idź pan do pierwszego pokoju, o, tu zaraz. Do tej panny, co ma obcięte, czarne włosy. Ona panu da taki papier, to trza wypełnić. Później oddać, to pana zapiszą i taką czerwoną kartkę dadzą. Idź pan tera, nikogo tam niema.

— A później?

— No, to się pan możesz choćby i codzień dowiadywać.

— I... co?

— I co? He, he! Jak pan masz szczęście, to pan zajęcie bez nas znajdzie. Co ta na urząd u nas liczyć.

Poszedłem do pierwszego pokoju. Pod oknem, przy stole, siedziała niewiasta w nieokreślonym wieku, bujna lecz wysoka, ubrana dostatnio i, snadź, bardzo pewna siebie. Obrzuciła mnie niechętnem spojrzeniem czarnych, ładnych oczu, na ukłon mój nie odpowiedziała i pochyliła znowu głowę nad jakimś papierem. Jej czarne, krótko obcięte włosy rozsypywały się po białem czole, a zmysłowe, silne wargi uśmiechały się ironicznie. Po długiej chwili poprawiła się w krześle, i jakgdyby w moją stronę wyciągnęła wygodnie nogi, obciągnięte w przejrzyste, doskonałe pończochy i obute w nowiuteńkie lakierowane pantofle. Przytem uśmiechnęła się już nie ironicznie, lecz nadal udawała zajętą.

Wreszcie zapytała:

— Pan sobie życzy?

— Jestem bez pracy. Chciałbym się zarejestrować.

— Papiery ma pan przy sobie? W porządku?

— Tak.

— Proszę — podała mi drukowany formularz — to trzeba wypełnić i zwrócić mi, wraz z dokumentami, na które się pan powoła. Sprawdzę. Atrament i pióro znajdzie pan w poczekalni.

Oh, te formularze! Pytań było bezmała czterdzieści, i były to pytania ciekawskie i dziwaczne. Dłu-

gie półgodziny drżącą ręką wypisywałem odpowiedzi, potrącany i nagabywany ustawicznie, półprzytomny z głodu i słaby. Nareszcie skończyłem. Wstałem. I oto po raz drugi tego dnia nogi ugięły się podemną. Lodowa igła plugawego strachu wkłuwała się powoli do mózgu, przez szczyt głowy. Aby tylko — Chryste-Panie! — nie zemdleć! Nie paść tu, na tę brudną podłogę, wśród tych obcych, biednych ludzi! Bo tu przecie niejedne oczy błyszczały głodową gorączką, w niejednej twarzy ryła swe piętno nędza i wycieńczenie, i na niejednych wargach wiły się zjadliwe i rozpaczliwe uśmiechy upokorzeń. Otaczała mnie duszna atmosfera lęku i zdenerwowania, zatajonej wściekłości i bezsilnego buntu. Nie szły ku mnie prądy przyjazne, lecz odpychające, nie szła ku mnie pozdrawiająca życzliwie siła, lecz przeczuciowa zawiść i prawie nienawiść. Zdaje się, że tylko dzięki temu, że sobie te złe sprawy sekundowo uświadomiłem, nie padłem zemdlony, lecz chwiejnym krokiem przeszedłem znowu do pokoju numer pierwszy. Tym razem czarna donna przyjęła moje papiery natychmiast. Długo je przeglądała, paląc papierosa, a rozdrażniający uśmieszek niedowierzania rozchylał jej zmysłowe wargi, odsłaniając rząd nierównych, pewnie ostrych, zębów. Przez te zęby wreszcie raczyła zapytać:

— Więc pan jest literatem?

— Tak.

— Widzę, że nawet wydał pan już dwie książki.

— Tak.

— Dlaczegóż pan nie zwróci się do Towarzystwa literatów?

— Oni mi stałego zarobku nie dadzą.

— A nacóż panu stały zarobek? Jest pan kawalerem...

— I od czterech miesięcy nie zarabiam nic. Nic. Czy pani to rozumie?

— Taak... To źle. No, tak. Nie mogę panu robić wielkich nadziei. Kraj przeżywa kryzys. Wszyscy pracujemy dla państwa. Urzędy, banki, przedsiębiorstwa prywatne redukują i redukują.

— Są jakieś fundusze dla bezrobotnych.

Spojrzała na mnie z ogromną pogardą. Zjadliwie i cynicznie się uśmiechnęła. Powiedziała bardzo chłodno i bardzo powoli: — Tak. Są. Każdy bezrobotny ma prawo otrzymywać pewną część swego ostatniego miesięcznego zarobku.

— Więc ja...

— Pan jest człowiekiem inteligentnym.

— A więc...

— Muszę się zdziwić. Cóż to? Pan, człowiek inteligenty, nie czytuje gazet? Nie wie pan o tem, że parlament nie przyznał dla was ani grosza?

— Niech się pani dziwi. Ja, człowiek inteligentny, nie czytuję gazet. Nie stać mnie na to od czterech miesięcy. Pani, kobieta inteligentna, powinna była to zauważyć.

— Panie!—lecz spojrzała na mnie jakby z lękiem. A mnie w tej chwili — niechże będzie przeklętą pamięć tej okropnej chwili — krew wszystka zbiegła do serca, — twarz moja zapewne zbladła na opłatek, zaigrały

znowu w oczach czarwone, złe blaski, zatoczyłem się i byłbym upadł, lecz na szczęście, zatoczyłem się na ścianę. Czarna donna wstała. Podbiegła ku mnie. W ładnych jej oczach nie było współczucia, lecz było wrażenie, i chciwa, wstrętna ciekawość. Dyszącym szeptem pytała:

— Pan głodny? Pan bardzo głodny?

Nie panowałem w tej chwili nad sobą. Zdradliwy szept wypełzł na me wargi:

— Tak, głodny, bardzo głodny...

Zamigotała w mych przekrwionych oczach srebrna dwuzłotówka. Zatańczyły dziką sarabandę stosy świeżych bułek, okrągłych i podłużnych, grubych i cienkich, białych i rumianych. Żar napełnił usta, żar wypalał oczy i żar płynął żyłami rąk, i żyłkami palcy.

Wyciągnąłem rękę.

Na szczęście, na szczęście przyszło otrzeźwienie. Rozlało się przejmującem zimnem po palcach, po rękach, po twarzy, po całem wymęczonem ciele. Wyprostowało kark. Na czas jeszcze cofnęło rękę. Wykrztusiło nędzne, śmiesznie smutne słowa:

— Kraj przeżywa kryzys. Wszyscy pracujemy dla państwa. Niechże pani to srebro odda na skarb państwa. —

* * *

Tak. Kraj przeżywał kryzys. Niezbyt dawno, gdy wróg zewnętrzny zbliżał się do stolicy, surma trwogi wyła nad tem miastem, wzywając do broni, do walki. Szli wszyscy, którzy kiedykolwiek myśleli szczerze o ojczyźnie, o honorze, o wolności życia. Sami — mówili — tę chałupę naszą zdobyliśmy, sami ją urządzić zmożemy. Nie trza nam cudzej pomocy, ani cudzej rady. Kto tu nam będzie gospodarzem, a kto za pastucha, sami też uładzimy. A na bomby fałszywych proroków, potrafimy zrobić także bomby. I poszli. I wojnę wygrali, i fabryki broni postawili, a teraz stawiają skarb własny, opokę przyszłości.

Byłem i ja. Dwa razy mnie bolszewicka ukąsiła kula, ale to nic. Wróciłem. Pracowałem.

A teraz...

Kraj przeżywa kryzys. Wszyscy pracują dla państwa. I ci wielcy dostojnicy, którzy codziennie obiad jedzą, doszli do wniosku, że robotnik, który ma prawo strajku i związek zawodowy, powinien mieć zawsze zarobek, albo żołd ze skarbu państwa. Inteligent zaś ma głowę i wykształcenie, na cóż mu więc zarobek, lub też żołd głodowy? To doprawdy poniża. Np. ja. Kawaler krzyża walecznych, dwukrotnie ranny, literat! A, wstyd! A, nieładnie! Za-po-mo-ga! Jak to dźwięczy brzydko!

A więc... alles gut! Wszystko jest w porządku!

* * *

Wszystko jest w porządku.

Było już południe! Z za buroszarych chmur wyjrzało wiosenne słońce, i szeroki snop złotego pyłu rozfalował się nad gwarnym placem. Zajaśniał blask na dachach i rynnach, zajaśniał blask w kałużach i na trotuarach. Uśmiechnął się gwarny plac, uśmiechnęła się brudna ulica.

I mój kryzys minął szczęśliwie. Zupełna jasność i lekkość, panująca

w mózgu, pouczała mnie wprawdzie (niech żyje doświadczenie!), że to jest ostatni, że tak powiem, przytomny etap głodówki, tem niemniej jednak czułem się na siłach rozpocząć dalszą wędrówkę. Postanowiłem iść do redakcji „Ziemi". Tak. Do redakcji. Wprawdzie nie posiadam nietylko ani kołnierzyka, ani krawatu, lecz także i koszuli, ale tego pod szczelnie zapiętą kurtką nikt nie zauważy. I jeśli mnie tylko dopuszczą do redaktora Stefanowicza..! Ba! Drukowałem tam przecie niejedną rozprawę, niejeden artykuł, niejeden wiersz nawet. Pójdę. Rozważnie jednak postanowiłem nie iść przez plac (bo tam są stragany z bułkami), lecz dookoła, chociaż drogą dalszą. Ruszyłem. Śmiała się do mnie ulica, śmiało się do mnie wiosenne słońce, — kwiecień to śmiał się w powietrzu wesoło — i powoli i mnie śmiech dobry ogarniał.

Doprawdy! Jest się czego martwić! Ostateczny wynik nie ulega przecież najmniejszej wątpliwości, a tym ostatecznym wynikiem może być w razie najgorszym... śmierć tylko.

Tylko śmierć. Wprawdzie — u kaduka! — wolałbym stokroć zginąć np. w bitwie pod Warszawą, lub klapnąć odrazu pod ciężarowym samochodem, niż kilka dni umierać z głodu, — ale trudno, przeznaczenie wiedzie człowieka, a co napisano w księdze losów, to się jedynie wypełni.

Więc .. wszystko przeminie, wszystko minąć musi!

Przemija — choć jest zarazem trwale nieśmiertelnem — a jedyną cenną sprawą na tej ziemi jest wolność duszy.

Ba — przyjacielu — czy aby jesteś pewnym logiki dzisiejszej? Wszak zapewne masz tak zwaną gorączkę głodową, i mózg twój, który, zdaje się, jest narzędziem twej „wolnej". duszy, nie działa już normalnie? Rozważ

Cóż rozważać?

Młodość wprawdzie nie myśli o śmierci, lecz wie o niej. To samo wiem i ja dzisiaj.

I na razie nic mi więcej nie potrzeba... Słońce się śmieje, a za tą przeklętą wystawą leżą bułki, bułki...

* * *

— Tadek, to ty?

— Tak, to ja.

— Bój się Boga! Co się z tobą dzieje? — mój niegdyś kolega biurowy, „przyjaciel" pan Czesław Zianecki zatrzymał mnie niespodzianie, i ze zdumieniem (i zażenowaniem wobec przechodzących) patrzał na mój opłakany „wygląd."

— Nic nadzwyczajnego — odpowiadam możliwie najspokojniej — wracam właśnie z urzędu pośrednictwa pracy.

— Ach, tak! Więc jakże? To ty od tego czasu jesteś bez posady?

— Tak. Od tego czasu.

— Bój się Boga! Okropnie wyglądasz.

— Tak. Nieprzyjemnie ci. Nie zatrzymuję cię.

— Ależ cóż znowu?! — Zianecki się zaczerwienił. — Przecież chcę ci dopomóc. Masz jakie nadzieje?

— Nie.

— Nie? Więc cóż robić? Cóż robić?

— Staram się. A jeżeli chcesz mi dopomóc — mówię zimno i obojętnie, a serce w piersiach kołacze szalenie — to pożycz mi na kilka

tygodni ze dwadzieścia złotych. Właśnie idę do redakcji...

— Ach, mój Boże! Więc nic nie masz jeszcze na widoku? A ja, jak na złość, tak się spieszę! Wiesz konferencję mamy... I pieniędzy ze sobą nic, a nic! Lecz tak chciałbym pogadać z tobą, może się gdzie spotkamy, co? Bo teraz, wiesz, muszę już...

— Ależ nie zatrzymuję cię. A umawiać się nigdzie nie mogę...

— Czekaj, przecież... Może w kawiarni...

— Nie mogę. Życzę powodzenia. — i drepczę znów szybko po twardych kamieniach bruku.

Nieostrożnie wstąpiłem w kałużę, i brudna, zimna woda bulgocze w dziurawym trzewiku. Niespokojny, chłodny dreszcz idzie od stóp mych do mej rozpalonej głowy.

* * *

Cicho, cichutko wstępowałem na czyste schody redakcyjne. Serce bije, łomoce, huczy i skacze. Kowaliki nerwów, najwytrwalsze w świecie, kują w skroniach i pod szczytem głowy, kują w rękach i w nogach, i wykuwają żar ognisty, co się rozlewa po całem ciele, by po krótkiej chwili zamienić się w zimno lęku, w dreszcz chłodu, przenikającego aż do szpiku kości.

Palec, którym naciskam krążek dzwonka, jest siny. Patrzę na całą rękę. Jest także sina.

Drżę!

— Czy pan redaktor Stefanowicz przyjmuje?

— A czego? — stary Tomasz oczywiście nie poznał mnie. Niewiadomo dlaczego sprawia mi to bardzo znaczną ulgę. Prostuję się, jak mogę, robię „pewną minę“:

— Mam interes.

— A... bo ja wiem...

— A czego tam? — w drzwiach poczekalni staje młody człowiek (jeden z wybijających się poetów „nowej sztuki“) i patrzy na mnie z wyraźną niechęcią.

— Ten pan niby do redaktora — odpowiada Tomasz.

— Redaktor wyjechał. Będzie dopiero we środę.

Cicho, cichutko schodziłem po czystych schodach redakcyjnych.

* * *

Już naprawdę nie wiedziałem dokąd idę i którędy idę. Każdy odgłos uliczny potężniał w moich uszach, dźwięczał donośnie i dziwnie metalicznie, że chwilami ogarniało mnie przerażenie. Stawałem w miejscu i podejrzliwie patrzyłem na ulicę. Nie spostrzegałem jednak nic nadzwyczajnego. Wysokie domy po obu stronach szerokiej, równej ulicy miały swój codzienny wygląd, tramwaje przepełnione poruszały się normalnie, i normalny wygląd mieli przechodzący ludzie. Dziwiło mnie tylko niepomiernie to, że nie mogę poznać, gdzie jestem, i że chwilami słyszę wspanialy, metaliczny dźwięk, dzwonnie wypełniający, zda się, całe miasto, a chwilami nie słyszę nic, nawet głosu krzyczącego obok mnie roznosiciela gazet.

Lecz ta trwoga moja minęła, natomiast powstał we mnie lęk przed zgoła czem innem.

Oto w moich oczach zaczęły się dziać rzeczy osobliwe, sprawy wprost niesamowite, których biegowi nie mogłem przeszkodzić, a które — czułem — przyprawić mnie mogą już o zupełne szaleństwo.

Wszystko wokoło powoli, lecz nieodmiennie, powoli, lecz nieuchronnie, zmieniało swój codzienny wygląd, pozbywało się niejako swej zwyczajnej maski, i okazywało oczom mym oblicze inne, wnętrze może, może prawdę, a może tylko straszliwą halucynację.

Ach, nie obchodziły mnie rzeczy, może ich wtedy zupełnie nie było. Ale wdarł się w moje oczy człowiek gromadny, człowiek tego miasta, okropny człowiek! Był godzien litości i miłosierdzia, był godzien wzgardy i bicza, był hańbą i chwałą, łaską i żądzą, brudem i nienawiścią. Bez szelestu przesuwały się obok mnie larwy czy mary, duchy czy zjawy — i każda ku mej twarzy pochylała swe nagie, swe surowo szczere oblicze. Widziałem...

...dostojny jegomość, który powoli i poważnie przechodził przez jezdnię, był łotrem, był mądrym wilkiem, o szatańskich oczach. Ważył teraz plan wielki, plan zniszczenia swoich wspólników i zagarnięcia ich złota...

...staruszka, budząca „ogólny" szacunek, była wszeteczna siłą szatana, zdolną kraść i truć, fałszować i zabijać...

...a cichy, skromny ksiądz był rozpustnikiem, bezsilnym kłębkiem plugawych podniet, kupcem taniej zwierzęcej rozkoszy...

...zaś pod bladem czołem młodego studenta gorzał płomień genjalnej myśli...

Szli ludzie — nie — ludzie, a wokół nich grały barwy i tryskały płomienie. Bratnie łączyły się ze sobą, splatały bezszelestnie i wspaniałą falangą szły, jak zwycięstwo idzie. Czułem ich błogosławiony prąd w sobie, doznawałem uczucia poznawania niewypowiedzianej siły, by po chwili dostać się pod władzę barw czarnych, potęg nienawistnych, które niszczyły we mnie wszelką nadzieję, wiedzę i wiarę, a budziły mroczne kłębowisko żądz i nienawiści.

I ujrzałem wreszcie, jak się te dwie przeciwne moce zmagać ze sobą zaczęły, jak skłębiły się w wściekłem szamotaniu, jak wreszcie — o! rozpaczy — jakby się w Jedność przeraźliwą zlały, i jako ta Jedność trwały i panowały. A ludzie — nie — ludzie szli, szli, bez końca szli. Barwy i płomienie z ich głów wytryskiwały, i łączyły się z przerażającą Dwujednią. To jasność wzmagała się na sile, to znowu mrok krucze rozprzestrzeniał skrzydła. Zalały mnie, opanowały i w szalony wir porwały te nieprzejednane moce. Wyrwały ze mnie duszę, wyciągały siły. Jeszcze chwila...

...lecz gdzież to jestem? Jakiż to chłód miły i rzeźwiący owiewa moje czoło?

Jakieś szare, tu i owdzie śniegiem jeszcze bielejące, pola rozciągają się wokoło mnie, dosłownie wokoło mnie, gdyż widzę na wszystkie strony, i we wszystkich kierunkach.

Jestem, a jakoby mnie niema.

Czuję tylko, że jestem, że trwam, widzę wszystko, lecz nie widzę siebie. Nie mam rąk, ani nóg, ani oczu. A widzę i słyszę.

Widzę pola i drzewa, widzę daleką wieś, i aeroplan wysoko pod obłokami, i słyszę warkot motoru. A przecie ja tu nie jestem.

Ogarnął mnie nadzwyczajny lęk... strach dziecka zbłąkanego w ciem-

nym lesie... chciałem krzyczeć... i oto ocknąłem się.

Stałem na ulicy, naprzeciw głównego dworca kolejowego. Wszystko tu miało wygląd normalny, i ja sam słyszałem i widziałem normalnie.

Gromady ludzi szły spiesznie z dworca. Przesunął się długi szereg samochodów i dorożek. I oto...

W ostatniej dorożce, jadącej bardzo wolno siedziała młoda, może trzydziestoletnia, kobieta cała w czerni, w żałobie. Odrzuciła właśnie welon z twarzy i dużemi, niebieskiemi oczyma z widoczną ciękawością rozglądała się wokoło. Jej drobne, śliczne wargi rozchylały się co chwila melancholijnym uśmiechem, który twarz jej rozświetlał wiosennie i dumnym zarysom lica nadawał czarującą miękkość.

Był moment — zresztą bardzo krótki — w którym oczy nasze spotkały się. Poprostu fizycznie odczułem wejście promieni jej oka do mojego oka. Doznałem uczucia, które w przybliżeniu nazwaćby można olśnieniem. Zmieszałem się. Chciałem odwrócić się i odejść, gdy nagle rozległ się krótki trzask, dorożka stanęła i przekrzywiła się gwałtownie. Złamane, czy pęknięte koło odskoczyło tuż pod moje nogi. Uśmiechnąłem się. Nieznajoma zaś wyszła już z dorożki i bezradnie rozglądała się wokoło. Woźnica, klnąc i złorzecząc, postawił obok niej dość sporą walizkę, później zaś z miną pokorną coś szeptem gulgoczącym przedkładał. Nie patrząc, podała mu monetę.

Wówczas to ta myśl! To nagłe postanowienie, które w łańcuchu mego życia, stało się tak ważnem wiążącem ogniwem. Ta myśl!

W pobliżu nie było dorożki, ani tragarza. Podszedłem. Oczy nasze znowu się spotkały.

Nieznajoma uśmiechnęła się prawie dziecinnie, odpowiedziałem zakłopotanym uśmieszkiem.

Poczem, zdobywając się na to całą siłą woli, powiedziałem:

— Czy nie mogę pani pomóc?

— Ach, proszę. Mieszkam bardzo blisko. A tu ani dorożki, ani nikogo.

— Zaniosę, proszę pani.

— A... wiele?

— Co łaska... — szybko, szybko odwróciłem głowę, aby ukryć płomienny rumieniec twarzy.

Ująłem walizkę. Była ciężka. Mogłem iść tylko bardzo powoli.

Szła przedemną o kilka kroków, prosta i bujna, dziwna w swej żałobie. Pełne jej, o klasycznej linji kształty grały urodą pokus pod suknią, i zwolna przykuły me oczy.

Lecz szedłem za powoli.

Odwróciła głowę, zwolniła kroku, zrównała się ze mną. Nie patrząc, powiedziała:

— Nie wielkie są pańskie siły.

— Tak. Nie jestem silny.

— Czy... pan robi to zawsze?

— Nie.

— Nie?

— Nie.

Teraz popatrzyła na mnie. Zmarszczka zastanowienia przecięła jej gładkie czoło. Bez uśmiechu rzekła:

— Jest pan... bez pracy?

— Tak.

— A co... — urwała, dopiero po chwili — Takie ciężkie czasy. Tylu bezrobotnych! Pan pracował w fabryce? W jakiej? Mam znajomości.

— Nie pracowałem w fabryce.

— Więc... na kolei?

— Nie.

— Więc pan... — lecz nie dokończyła. Znów przyspieszyła kroku. Znów szła przedemną.

Lecz już nie zachwycałem się urodą jej postaci. Sina mgła zawlokła moje oczy, a na czoło, plecy i ramiona wystąpił pot kroplisty. Dysząc ciężko, z niesłychanym trudem wchodziłem po schodach, wyścielonych purpurowym dywanem. Zatrzymała się na drugiem piętrze.

Gestem nakazała mi postawić walizkę obok drzwi, i otworzyła swój zgrabniutki, srebrny woreczek.

Drżałem.

Poprzez siną mgłę spojrzałem na drzwi i po chwili zdołałem odczytać tabliczkę: Irena Łabędzka. Zauważyła to. Znów pojawił się na jej wargach prześliczny melancholijny uśmieszek, który jakby towarzyszył wszystkim jej następnym słowom:

— Dziękuję panu. Stąd już zabiorą. Życze panu szczęścia. Przeczytał pan moje nazwisko, niech pan je zapamięta. I adres. Żegnam pana — i jednocześnie w obszarpaną kieszeń mej kurtki włożyła jakąś monetę.

Nie zdobyłem się ani na jedno słowo. Ukłoniłem się i wolno, bardzo wolno schodziłem po schodach.

Zadzwoniła, kiedy już minąłem pierwsze piętro.

* * *

To była już godzina trzecia. Srebrną dwuzłotówkę rozmieniłem w maleńkiej kawiarence, w której napiłem się gorącego mleka. Pozatem kupiłem trzy bułki i pięć papierosów. To była już godzina trzecia.

Gwarną ulicą wracali ludzie z biur do domów. Widziałem znajome twarze. Szli urzędnicy przeważnie weseli. To dzień wiosenny tą wesołością poił.

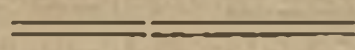
Szły piękne kobiety.

Lecz znajomi nie poznawali mnie. Kobiety nie patrzyły na mnie. Nawet te.

Wiosenne słońce wyolbrzymiło moją śmieszną nędzę. Wiosenne słońce jaskrawo oświecało moje stare ubranie, mój zmięty, podarty kapelusz, i moje obłocone, powykrzywiane buciki.

Nie istniałem już dla tych „inteligentów”, nie istniałem jeszcze dla braci — biedaków. Byłem sam.

Wiktor Przecławski.



Sprawa koncesyj inwalidzkich.

„Ty Polsce — Polska Tobie" brzmiało hasło po całym kraju, w krytycznym dla Polski momencie. „Ty Polsce — Polska Tobie", krzyczały olbrzymie wielobarwne plakaty w najcięższych dla Ojczyzny naszej chwilach.

Tytaniczny wysiłek armji, poparty szczerym zapałem większej części społeczeństwa, przyniósł nam zwycięstwo i traktat pokojowy w Rydze.

Niestety, traktat w Rydze, dając możność odbudowy naszej gospodarki państwowej, dając podwaliny dla pokojowej a twórczej pracy całemu społeczeństwu, nie mógł zabliźnić ran, zadanych mieczem okrutnej wojny. Te niezabliźnione rany nasze — to inwalidzi wojenni, wdowy i sieroty, to ci, co krwią i kalectwem lub życiem najdroższych sobie istot, zapłacili za wolność i dobrobyt całego kraju.

A teraz pytanie. W jaki sposób rząd i społeczeństwo chcą zabezpieczyć znośny byt tym niezdolnym dzisiaj do pracy bohaterom, w jaki sposób rząd i sejm, jako przedstawiciele narodu, chcą wypełnić daną obietnicę — „Polska Tobie". Na te pytania musimy sobie odpowiedzieć szczerze: ani rząd, ani społeczeństwo nie chciały przyłożyć dobrowolnie ręki do wykonania drugiej części szczytnego hasła — „Ty Polsce — Polska Tobie".

Sejm długo i z wielkim namysłem uchwalał Ustawę inwalidzką, rządy jeszcze dłużej, ale już bez namysłu ustawy nie wykonywały. Społeczeństwo znów zajęło stanowisko zupełnie obojętne, a część jego nawet wręcz wrogie.

Przemysłowcy, bankierzy, obywatele, a nawet wielu naczelników instytucyj rządowych i samorządowych, odmawiali i odmawiają do dnia dzisiejszego dania pracy zarobkowej tym, którym w krytycznych momentach obiecywano złote góry. Stan taki długo trwać nie mógł, to też inwalidzi zmuszeni byli, wobec wzrastającej wciąż nędzy, przejść do tworzenia własnych warsztatów pracy, na podstawie przywilejów państwowych, t. j. koncesyj.

I oto, gdy dawniej dość rzadko odzywały się pomruki o zachłanności inwalidzkiej, to z chwilą gdy rząd odbudowy p. W. Grabskiego i większa część sejmu przyjęła żądania inwalidów przychylnie, powstał krzyk straszny. Wrzawa i wściekłość doszła do kulminacyjnego punktu, gdy P. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej odpowiednie rozporządzenie w przedmiocie „Rewizji Koncesyj" podpisał.

Odpowiednie czynniki zorganizowały wszystkie swoje siły do ataku. Czego tam nie było: sążniste artykuły o niefachowości inwalidów, o zasługach dorobkiewiczów wojen-

nych, o zgniliźnie i pijaństwie, szerzących się wśród inwalidów, o bolszewiźmie, ba, nawet wspominano o upadku państwa Polskiego.

Proponowano olbrzymie sumy na inwalidów, oczywiście kosztem konsumentów. Były wiece i manifastacje rozbogaconych handlarzy i restauratorów. Słowem było wszystko, nie było tylko poczucia wstydu, sprawiedliwości i zrozumienia dobra państwa.

A teraz spójrzmy na tych przyszłych koncesjonarjuszy, na owych — zachłannych i żądnych bogactw — inwalidów. Zapytajmy się, czem dla nich są koncesje, a otrzymamy odpowiedź. — Koncesja to warsztat pracy, to zapewnienie samodzielnego jutra. Koncesja — to nowy obowiązek ciężki i odpowiedzialny; ciężki, bo wymagający wiele energji i pracy, a że wymaga on energji, to zrozumieją wszyscy, którzy zdają sobie sprawę, że inwalidzi będą zmuszeni walczyć z brakiem gotówki, lokali i t. p., oraz z usuwaniem belek i beleczek, które pod nogi rzucać im będą dotychczasowi koncesjonarjusze. Ale inwalidzi znajdą dość energji i do pracy starczy im sił. O fachowość niech się ci panowie też nie boją, gdyż nowi koncesjonarjusze, jeśli będą niefachowi, to tylko pod względem okradania skarbu, przy uiszczaniu podatków.

Niemoralność i pijaństwo, zapewnić możemy, że nie panuje w większym stopniu, jak w całem społeczeństwie, przeciwnie, może nawet w mniejszym. A dalej, człowiek, wołający jeść lub żądający pracy, czy odszkodowania za swoje rany, niekoniecznie jest bolszewikiem, o tem nie powinni zapominać ci co krzyczą i ci, co piszą.

Państwo, przeprowadzając rewizje koncesyj, t. j., odbierając koncesję panu, którego czterej synowie dezerterowali z wojska lub się dekowali w garnizonach, i oddając ją inwalidzie wojennemu, nietylko nie popełnia gwałtu i nie potrzebuje się obawiać zarzutu niepraworządności, ale przeciwnie, spełnia swój obowiązek i świeci przykładem praworządności, bo cóż może być bardziej praworządnego i honorowego, jak właśnie wypełnienie danych zobowiązań i wykonanie ustaw sejmowych.

Inwalidzi w wykonaniu swych obowiązków, wynikających z nadania im koncesyj, powinni spotkać się z poparciem całego społeczeństwa, z poparciem nawet tej jego części, której tak bardzo zależy na zmiejszeniu ilości inwalidów, poszukujących pracy na zasadzie istniejących przepisów.

Rząd zaś ze swej strony, winien pośpieszyć z jaknajwydatniejszą pomocą materjalną, której udzielić może bardzo łatwo za pośrednictwem Banku Inwalidzkiego, który już istnieje, lecz nie posiada jeszcze dostatecznej pomocy ze strony Banku Polskiego.

Pozostał jeszcze zarzut, że inwalidzi chcą być obywatelami uprzywilejowanymi i tu trzeba powiedzieć, że słusznie, bo czyż dużo znajdzie się obywateli, którzy, widząc kalekę bez nogi, nie ustąpiliby miejsca, lub nie ułatwili przejścia przez ulicę ślepcowi, a inwalidzi przecież żądają tylko takiego uprzywilejowania, w którym jest ułatwienie życia

i pracy, a tego, jako okaleczone ofiary wojny o niepodległość, żądać mają prawo.

Społeczeństwo może być spokojne, że inwalidzi niczyim kosztem żyć nie pragną i nie będą.

Porozumienie pomiędzy inwalidami a społeczeństwem nastąpić może i musi, lecz ze strony jednej należy jaknajdokładniej informować ogół o tych sprawach, ze strony zaś społeczeństwa żądać należy mniej obojętności, a więcej zainteresowania. Wtedy krzykacze - szalbierze, mimo wielkiej złej woli i środków do mącenia opinji zaburzyć wzajemnego porozumienia nie będą mogli.

Tego wymaga interes, tak inwalidów, jak społeczeństwa i rządu.

Rajmund Dzisiewski.



FRAGMENT „WIELKIEJ KAWIARNI“ W ŁAZIENKACH KRÓLEWSKICH W NOWEJ POMARAŃCZARNI
CODZIENNIE KONCERT OD 4 DO 8 WIECZ.

Byli wojskowi a inwalidzi.

Chwila obecna zastaje byłych wojskowych i inwalidów wojennych, rozbitych na kilkanaście organizacyj (Inwalidów wojennych, Oficerów rezerwy, Byłych wojskowych, Dowborczyków, Hallerczyków etc.), oddzielnie słabych i niezdolnych do zajęcia tego stanowiska, jakie przypaśćby im mogło w udziale przy wspólnej organizacji, obejmującej w swych ramach poszczególne związki, jako jednostki autonomiczne.

Dola b. wojskowych, a zwłaszcza inwalidów jest bardzo ciężka. Z jednej strony niezabezpieczony byt niezdolnych do pracy jednostek, z drugiej brak pracy dla tych, którzy mogą działać i chcą pracować. Wykolejeni kilkoma latami wojny nie powrócili do swych warsztatów pracy — zastali je już zajęte.

Państwo w obecnym swym stadjum rozwoju nie jest w możności przeprowadzić żadnej poważniejszej akcji pomocy z powodów zrozumiałych t. j. braku środków finansowych po temu. Z drugiej strony, nawet to, co Państwo mogłoby uczynić, oraz co zostało nam zawarowane najrozmaitszemi uchwałami i rozporządzeniami państwowemi — t. j. pierwszeństwo w urzędach państwowych, koncesjach etc.—zostało li tylko martwą literą. Wszystkie te uchwały są niemal jedynie świstkiem papieru bez żadnego znaczenia.

A Społeczeństwo? — Społeczeństwo Polskie zdobywa się tylko na entuzjazm, rzuca obietnice i ślubuje — lecz tylko w chwilach niebezpieczeństwa. Gdy pierwszy impet mija zapominają snoby o swych obowiązkach i idą zapatrzeni tylko we własny interes — niepomni na ten dług wdzięczności nieuregulowany względem tych,— których zdrowiem i krwią opłacony został spokój ich i dobrobyt materjalny.

Byli wojskowi mają prawo do pracy, a inwalidzi do zapewnienia im bytu w Państwie, o którego istnienie walczyli, którego potęgę ugruntowali i w którem należą do lepszej części Społeczeństwa, do pierwszych obywateli.

To wszystko zrozumiały inne narody — inne państwa — inne rządy, tylko nie u nas — tylko nie my.

Z chwilą, kiedy staliśmy się niepotrzebni—rzucono nas na śmietnik —do lamusa—jako pamiątkę służącą czasem do uświetniania uroczystości narodowych, i jako temat przygodnym mówcom w celu wyciśnięcia łez bardziej wrażliwym i czułym na błyskotki retoryczne słuchaczom.

Tymczasem pole do działania jest wielkie i przy dobrej organizacji, wszystkie nasze cele i postulaty mogą być osiągnięte: musimy zrozumieć, że jesteśmy potęgą, z którą będą musieli się liczyć, jako z realną siłą społeczną. Nie znamy żadnej partji—partją jesteśmy my sami — my, występujący pod jednym jedynym hasłem: **Sprawiedliwości!**

Sprawiedliwości — głos nasz wysłuchany być musi i musi być nam

dane prawo decyzji o swoim bycie i swych potrzebach w tem Państwie, któreśmy wywalczyli. — Jesteśmy wszak u siebie — i niemasz takiego, któryby mógł zaprzeczyć naszemu prawu.

Lecz chcąc zdobyć to prawo, chcąc mieć głos w najżywotniejszych sprawach Ojczyzny naszej i decyzję w urządzaniu życia naszego musimy się zdobyć na czyn. Do tego celu prowadzi droga organizacyjnego wysiłku — rozbici na szereg ugrupowań nic nie zdziałamy.

Musimy zdobyć się na jedną organizację, łączącą wszystkich b. wojskowych i inwalidów, tak jak to zresztą zrobili nasi koledzy w innych państwach, np. w Anglji, Jugosławji, Rumunji.

Mamy cały szereg związków, z których należy stworzyć jedną wielką organizację z pozostawieniem wewnątrz poszczególnych sekcyj. Zasada zespolenia i skoordynowania pracy organizacyjnej w jednych ramach winna stać się w chwili obecnej programem dla wszystkich organizacyj, grupujących b. wojskowych, oraz inwalidów wojennych.

Pierwszym krokiem na tej drodze będzie stworzenie Tymczasowego Naczelnego Komitetu Związku Byłych Wojskowych, wyłonionego z grona przedstawicieli wszystkich wzmiankowanych organizacyj, któryby skupił w swych rękach dalszą pracę organizacyjną.

Tę myśl rzucam z tego miejsca, z wiarą że zjednoczeni — zwyciężymy!

Wiesław Batorski
ppor. rez.

Od Redakcji.

Stanowczy i szczery głos powyższy pomieszczamy w tej myśli, że zbudzi on żywe zainteresowanie sprawą, wprawdzie nie nową, ale dziś jakby znowu w zapomnienie idącą. Ciekawych odsyłamy do artykułów Antoniego Szylera, pomieszczonych na łamach „Inwalidy". (patrz zeszyty: ostatni z r. 1924 i Nr. 3 z r. b.) Przyjmujemy chętnie artykuły bliżej i z różnych punktów widzenia oświetlające tą sprawę.

Sąd polubowny.

Staliśmy niby załogą w białoruskiej wiosczynie. We trzech. Kiedy właśnie przyplątał się ów, wracający z urlopu szczęśliwiec. A, że o przypadek nietrudno, więc przytrzymaliśmy chłopa razem z zapasami, jak swego. Dał się namówić głównie z powodu nocy, jako, że czasy były strasznie niepewne, a właściwie tak — jakoś, wogóle. Grunt, że został i urządził niemożliwą ucztę. Wszystkie tobołki wytaszczył na stół i powytrząsał, jak popadło. Pękaty ochłap szynki, pasztet, sardynki, jakieś cukry, czy lukier... wreszcie, pełniuteńką konewkę wódki, bardzo zdatnej do wypicia. Zaraz też przedziwna otucha w nas wstąpiła, niby że wszystko jeszcze może być lepiej. Więc suto popijając, jedliśmy. Przynajmniej początkowo. Zwolna bowiem uczta zyskiwała na charakterze i zamieniała się w nieprzytomne wprost konsumowanie i arcypotop. Właśnie upatrywałem największą, zdaniem mojem, sardynkę, kiedy djabli nadali jakiś gwałt. Kolejno krzyk, jeden i drugi. Wreszcie ryknęła cała burza wrzasków. Skoczyliśmy na równe nogi i do broni.

— Kiej djabeł?!—mruknął któryś— bolszewicy, czy co? Wrzawa ciągnęła w naszą stronę najwyraźniej. Dłonie mimowolnie przylgnęły mocniej do karabinów i dopasowały się do strzału. Choć, Bogiem a prawdą, na napad nie wyglądało. Bo, po pierwsze, hałas za wielki, po drugie, dziesięć wiorst od frontu. Więc niby skąd? Ale, czy to można wiedzieć?

Wyszedłem przed chatę i przycupnąłem na ganeczku. Drogą nadchodziła gromada ludzka.

— Hej tam! A co za ludzie!? — zawołałem.

Stanęli.—My „zdieszni"—odkrzyknęło kilka głosów.

— A czego po nocy? — Co za wrzaski?

— Miłosti prosim, panoczku.... — reszta słów przepadła w gwarze ogólnym.

— Niech jeden gada! bo nie słyszę o co chodzi!

— Niechaj Maksym każe — podchwycili jedni.— Idź Maksym!

— Hrihorij niech idzie! On praw! Niech on mówi — wołała reszta.

— Nie Hrihorij, a Maksym! — pisnął jazgotliwy głos.

— Ot i z Maksymom!... Hrihorij... Maksym... Hrihorij... Maksym...—zawrzało, jak w ulu.

Straciłem cierpliwość.—Co, u pioruna?!—huknąłem na całego.—Jeden ma gadać!

Umilkli. — Idź Maksym.... idź ty!

Z gromady wychylił się kudłaty chłop, barczysty i rozrośnięty.

— Więc? O co to chodzi? Gadaj.

— Miłosti waszej prosim...—zaciął się Maksym.

— Słyszałem. Co dalej...?

— Ot! „possorili" my się, panoczek, a wszystkiemu winien ten Hrihorij, sobaka kab' joho....

— Nie łaj! ty sam sobaka! Hriho-

rij praw! — wydzierał się piskliwy głos niewieści.

— Baby cicho! — ostrzegłem... — Zaczynałem rozumieć. Podarli się i przychodzą na skargę.

— Ot i on to, Hrihorij — ciągnął Maksym, — pokrzywdził mnie, biedaka i tak my do was panoczek, kab' mądrością wy swoją nas rozsądzili.

Zrozumiałem. Zdarzyło mi się w ciągu dnia rozmawiać, o jakiejś tam kwestji prawnej, ze starostą (sołtysem), u którego staliśmy kwaterą. Chodziło jak zwykle u nich o krowę z posagu i o sporne dziesięć łokci gruntu również. I nie pamiętam co mu nabajałem. Ale porada opłaciła się sowicie, bo uradowany przyniósł mi pud owsa, dla konia. Nic tak nie budzi zaufania, jak najdrobniejsza rada, tycząca się czyjegoś sporu. Ale żeby mi bestja sprowadzał od ręki, nową klijentelę i to jeszcze po nocy. Zdębiałem.

— Słuchaj Maksym — tu nie sąd i ja nie sędzia. Idź ty sobie do sędziego to ciebie rozsądzi i twoją krzywdę i powie kto praw! A mnie co do tego?

— Gdzie mnie i szukać sędziego —napraszał się. — U was panoczek gołowa ot! — i mądrość! A my, — wiadomo—głupie. Zrobimy co, tak „płocho" i krzywda. A wy panoczek rozsądzicie, taki dobrze będzie. My już sobie was sędzią obierzem, a jak rozsądzicie,—zrobimy. „Wierno" zrobimy. Taki rozsądźcie panoczek. Bo tak krzywda. Już okażcie „barskuju miłost'" i rozsądźcie.

Gromada obstąpiła zewsząd i dawaj prosić. Baby uderzyły w płacz i lament. Nie było żadnej rady. Postanowiłem przynajmniej „sprawę odroczyć"! Wytłomaczyłem, że jestem zmęczony i idę spać.... Odeszli. Ale z tem, że przyjdą na drugi dzień rano.

Niewielką miałem ochotę godzić pokłóconych chłopów. Czasem bowiem mają spory zadawnione od stu lat, i niema już na to ludzkiej ani boskiej mocy. Ale słowo się rzekło. W najgorszym razie—zobaczymy co będzie.

Wróciłem do izby. Towarzysze moi pozasypiali. Przytem po mojej sardynce nie było już ani śladu, ani popiołu, rzecz prosta. Więc i ja się wyciągnąłem z miną szczerze markotną.

Na drugi dzień obudził mnie szmer. Spojrzałem w stronę drzwi, do których odwrócony byłem plecami. Stała tam jakaś młoda kobieta.

— Ty czego?

— Ja do was panoczku.

— Ja panoczku do was jak do ojca rodzonego. Wy będziecie sądzić. Ja Hrihorjewa żona. On biedak niewinien, to ten Maksym, „kab' jemu ruki poodgniwali", winien on to panoczek...

— A nie pójdziesz babo! — ryknąłem — co ty! Hrihorij sam ma język i gadać umie.

Baba struchlała.

— Nie gniewajcie się, „pane sudja miłostywyj"— podjęła przestraszona — jaż wam przyniosła i kury dwie i jajek trochę i...

Aż mnie podrzuciło.

— A babo podła! jak śmiesz! — won mi za drzwi!

Baba zniknęła. Odsapnąwszy po gniewie zacząłem wciągać mundur.

A to baba podła dopiero.... przychodzi najbezczelniej z łapówką.... tfu!

Właśnie wszedł jeden z kolegów. Opowiedziałem mu pokrótce, co się stało od wczoraj do dziś. Słuchał obojętnie. Nagle wydał okrzyk.

— Co to?! Co to jest?! Kury, masło, o!.... i jajka, tylko psiak.... potłuczone. Fju... fju... a skąd?

— To ona zostawiła.

— Jaka ona?

— No baba, com ci mówił, tylkoś nie słuchał.

— E wiesz, to jednak mądrzej niż myślałem. Warto być sędzią na Białejrusi. Można żyć. Będzie śniadanie.

— Nie będzie bo wszystko wyrzucę.

— Zbaraniałeś?

— Chyba tyś zwarjował?! Co! łapówki będę brał, myślisz?! Najlepiej weż wszystko i odnieś babie. Zbierała we mnie złość od nowa.

— Odnosić nie będę, bo jej nawet nie znam — jak przyjdzie to weźmie sama. A powiadam ci, najlepiej zrobić śniadanie — upierał się mój kolega.

— Za nic!

— Jak chcesz.

Umilkł, widocznie zły. Koszyk rzucił pogardliwie w kąt i mrucząc pod nosem majstrował coś koło siodła. Ja również byłem zły i wściekły, jak chrzan.

Drzwi skrzypnęły cicho i nieśmiało.

— A kogo tam znowu niesie?!

— Ja do was panoczku.

— A czego? — odwróciłem sie.

We drzwiach sterczała baba. Tym razem stara.

— Ja Maksymowa „pane sudja“ — zaczęła jednym tchem — ja wam przyniosła słoniny i miodu i...

O! do pioruna! Rzuciłem się jak oparzony, aż baba ze strachu przysiadła na progu drzwi i tego... ryknąłem nagle wielkim śmiechem. Jak tu można się gniewać. Tacy już widocznie ludzie.

Śmiejąc sie do rozpuku wyrzuciłem babę za drzwi razem z tobołkiem. A za nią dla kompletu koszyk Hrihorjewoj.

Zauważyłem, że za babą chyłkiem ktoś się wymknął. Po chwili wrócił mój kolega z miną strasznie do góry, ale nic nie gadał. Potem weszli dwaj inni, widocznie poinformowani o wszystkiem, i najspokojniej zabrali się do śniadania.

Kończyli właśnie, kiedy wszedł nasz gospodarz, starosta, mówiąc, że Maksym i Hrihorij już są i pytają, czy mogą wejść. Kazałem ich wpuścić i zaprosiłem do asysty starostę, chłopa dość rozgarniętego. Mógł się przydać. Towarzysze moi przez ciekawość zostali również. Utworzył się areopag. Za stołem siedziałem ja, z dwóch stron koledzy, z boku starosta. Rozbawiony rannem zajściem ciekaw byłem samej sprawy.

Pierwszy wszedł Maksym, wielki tęgi chłop, przystojny z trochę zuchwałym wyrazem twarzy. Wszedł pokornie, widocznie stropiony, starając się zająć jak najmniej miejsca swoją osobą. Niezgrabnie wybił pokłony przed „ikoną“, umieszczoną w kącie i stanął pod ścianą. Za nim szła, kryjąc się za jego plecami żona, stara i wyschła baba.

Następnie za małżeńswem wszedł niepozorny chłopina, z chorowitą

twarzą śledziennika, pokraczny jakiś i jakby połamany, o baranim wyrazie żółtych, wyłupiastych oczu i z bezradnie otwartemi ustami. Wszedł, patrząc głupowato. Zapomniał nawet „pokłonów“ i ustawił się koło drzwi.

— Hrihoryj — objaśnił lakonicznie starosta.

Spojrzawszy na tych dwóch, nietrudno było odgadnąć charaktery. Maksym widocznie porywczy i zuchwały, bo ufny w siłę potężnej pięści.

Hrihorij — głupkowato - nieporadny, fizycznie słaby, rozumem też niemocny, o czem świadczyła spłaszczona głowa i niskie czoło kretyna. Nie mając zatem oparcia w sobie, był zahukany i wiedziony, prawdopodobnie, na pasku przez żonę — dorodną i hożą babę, która wsunęła się chyłkiem do izby a popchnąwszy niezdarnie rozkraczonego małżonka przystanęła koło pieca ze spuszczonemi oczyma.

Obie baby obrzucały się złem spojrzeniem i na zmianę spuszczały oczy.

Potem weszło jeszcze paru chłopów i bab.

— A to co? — zapytałem.

— My „na prawdu“ przyprowadzili—objaśnili jednocześnie Maksym i Hrihorij.

— Co to znaczy? — zagadnąłem starostę.

— To po waszemu, panie, świadki.

— Niepotrzebni. Przyjdziecie jak zawołam — zdecydowałem. Wyszli więc spiesznie stłoczeni jeden na drugim.

Podczas posiedzenia, starałem się przybrać surowy wyraz twarzy. Dla większej powagi wziąłem do ręki ołówek i położyłem w braku czego innego, kawałek starej gazety przed sobą.

— Przedewszystkiem — zacząłem — słuchaj Maksym, a i ty Hrihorij. Chcieliście sądu — dobrze. Ale skoro obraliście mnie na sędziego, muszę wiedzieć, czy wykonacie wyrok jaki wydam. Więc powiedzcie zaraz.

— Obowiązkowo — rzekł skwapliwie Maksym — wiadomo, sąd; a co pan sudja powie — święte.

— Tak, tak — potwierdził Hrihorij — my i przysiądz możem.

— Więc dobrze, gadaj najpierw ty, Maksym. O co wam chodzi obydwum?

— To może ja powiem — zaofiarowała się baba z za pleców — już ja lepiej...

— Baby cicho! Mów Maksym a prawdę.

— Szczerą prawdę, pane sudja. Było tak: mam zagrodę na końcu wsi, niedużą i gospodarstwo u mnie nieduże, ziemi dziesięciny cztery, koń jeden tylko bo drugi...

— Nie gadaj o koniu, tylko o co wam poszło.

— Jaż i mówię. Gospodarswo u mnie nieduże, pracować niema komu, bo syn jeszcze w niewoli, a baba...

— A co mnie do baby, ty mów o sprawie — przerwałem znowu.

— Jaż i mówię. Tak baba moja trochę chora, parobka nie mam, sam tylko biedują jak sobaka, a i koń drugi zdechł mi, jeszcze na wiosnę — i znachor był i świecę ja stawiałem...

— Czy ty powiesz nareszcie, o co pokłóciłeś się z Hrihorjem czy nie?

— krzyknąłem zniecierpliwiony — bo wyrzucę obydwóch i koniec.

Chłop popatrzył zdziwiony na mnie, na sołtysa, na babę, przełknął ślinę i zaczął po swojemu.

— Jaż i mówię panie sudja.

Machnąłem ręką z rezygnacją. Niech gada bo końca nie będzie.

— Tak i zdechł koń, a sławny był koń. I sam ja tylko jak ta sobaka pracuję i trudzę się i nie pomoże nikt mnie biednemu. Ani dziecka niema żeby bydło paść. A krowy u mnie dwie i jałoszka roczna. Ładna jałoszka i cielę. A krowa jedna mleka nie dale „sousim". I kury dwie ukradli — zginąć przyjdzie biednemu. Tak ja powiedział Hrihorju, bo jego zagroda obok mojej: — Daj ty mnie dziewczynę swoją, niech ona u mnie bydło pasie i pracować będzie, a ja tobie dam na jesieni cielaka. — Dziewczyn u niego dwie, Nastja i Marusia. Dał Nastję. Tak ona u mnie krowy pasła, ale krowy wszystko jedno mleka nie dawały. I mnie żal się zrobiło cielaka, bo ładny i wyrósł i mówię ja Hrihorju: — Daj ty mnie Nastję na zimę, to ja tobie dam cielaka. — A on nie chciał i dziewczynę zabrał i cielaka z pola zabrał. Tak ja do nich, żeby oddali cielaka, a oni mówią: — Dziewczyna pasła, cielak nasz. — To ja jego tylko ruszyłem, a on na ziemię „prowaliłsia". A baba jego do mnie, odsunął ja babę na bok: żeby nie „szatała się", ale lekko, leciutko...

— Ot! jak lekko! — wrzasnęła Hrihorjewa — ot! niech zobaczy pan sudja, jak lekko. Mało nie zabił sobaka, ot jak!...

I zrzuciwszy świtkę, skoczyła do stołu, zdejmując bez najmniejszej ceremonji koszulę.

Z trudem utrzymałem powagę i kazałem babie wrócić na miejsce. Dusiliśmy się ze śmiechu.

Hrihorjewa wróciła pod piec, ale już została w rozrzuconej koszuli, ukazując pierś jędrną i białą jak marmur, mierząc rozognionym okiem Maksyma i jego żonę, która wybuchła zajadłym jazgotem.

— Ot! jaka niedotknięta. Za chłopami lata, a jak ją który tknie, to krzywda.

— A ty sama już stara, to...

— Baby cicho — przypomniałem surowo.

Umilkły, wiercąc się tylko mściwemi oczyma.

— No i cóż z cielakiem? — spytałem Maksyma.

— Został u nich.

— Tyś go zostawił czy oni nie dali?

— I nie dali i zostawił.

— Jakto?

— Jaby i tak im zostawił.

— Więc czego ty chcesz; skrzywdziłeś ich, pobiłeś i jeszcze tobie krzywda?

— Krzywda.

— Jaka krzywda?

— Krowy mleka nie dawały.

— To ci oni winni czy co? A zresztą cielaka byś im i tak dał, bo sam mówiłeś. Tak czy nie?

— No dałby.

— Więc czego ty chcesz, skoro im oddajesz cielaka.

— Mnie i nie o cielaka chodzi, a żeby nie była krzywda. Pan sudja powie nie krzywda — tak nie. A tak — krzywda.

— Dam ja ci krzywdę — mruknąłem przez zęby.

Audiatur et altera pars. Teraz wziąłem na spytki Hrihorja.

— Prawda to, co Maksym mówi?

— Prawda — przytaknął głupowato.

— Ech! dura! — mruknęła Hrihorjewa — ty sam...

Spojrzałem groźnie—umilkła. Pytałem dalej.

— Cielak u ciebie?

— U mnie.

— A dziewczyna?

— U mnie.

— Więc czego chcesz jeszcze?

— Kob' nie była krzywda. I cielaka nie chciał dać i dziewczyny nie chciał i pobił, pane sudja, i babę pobił...

— Oj pobił — zaszlochała z pod pieca Hrihorjewa — ja pokażę, pane sudja... tu i tu... i tu...

Odwróciłem oczy, by nie stracić reszty powagi, którą utrzymywałem całą siłą woli, bowiem Hrihorjewa obróciła słowa w czyn. Maksymowa mruczała przekleństwa, częstując kościstym kułakiem w bok Maksyma, który, niby obojętnie, ale wciąż, zerkał pod piec.

By położyć koniec scenie, kazałem Hrihorjowej opuścić izbę.

Właściwie sprawa była jasna i skończona. Chodziło tylko o pobicie. Czułem instyktownie, że tych ludzi najbardziej zadowoli pierwotny wymiar sprawiedliwości.

Zadałem więc końcowe pytania.

— Maksym, przyznajesz, że się Hrihorjemu cielak należy z umowy?

— Przyznaję.

— Godzisz się na zostawienie cielaka u Hrihorja?

— Tak.

— Ale ci krzywda?

— Krzywda pane sudja.

— O co?

— I krzywda—powtórzył uparcie.

— Hrihorij, masz cielaka u siebie?

— Mam.

— I dziewczynę też?..

— I dziewczynę.

— Więc czego chcesz?

— Kob'nie była krzywda — uśmiechnął się głupowato.

— Wyjdźcie, Starosta niech też wyjdzie, — oświadczyłem.

Za chwilkę zawołałem ich do izby i udając, że czytam z papieru, zacząłem:

— Ponieważ dziewczyna Hrihorja pracowała u Maksyma przez lato, a umowa była, że Maksym da za to Hrihorjemu cielaka, więc ciele zostanie u Hrihorja i nie będzie ani Maksyma krzywda ani Hrihorja.

Spojrzałem na obydwóch. Maksym kiwał głową z uznaniem, a w wytrzeszczonych oczach Hrihorja malowało się bezmyślne i bierne poddanie.

Ciągnałem dalej:

— Ponieważ jednak Maksym nie chciał oddać cielaka Hrihorjowi i pobił go, a żonę jego również, a Pismo Święte mówi: — Nie będziesz pożądał wołu bliźniego twego, ani żony jego — tu zagryzłem wargi, by się nie roześmiać. Chłopi zawziecie bili pokłony przed „ikoną", baby pochlipywały ze wzruszenia, — przeto Hrihorji będzie miał prawo bić Maksyma.

Tu spojrzałem na Hrihorja i wprost się przestraszyłem. Głupkowata twarz i bezmyślne oczy nabrały w jednej chwili tak zwierzęcego wy-

razu, żem zdrętwiał. Hrihorij wpatrywał się we mnie chciwym wzrokiem i przerywanym głosem zasyczał:

— Ile razy... prikażetie... bić... pane sudja?

— Trzy razy — rzekłem prędko. Wiedziałem bowiem jak bije rozzłoszczony chłop.

Zwróciłem się do Maksyma:

— Masz co do powiedzenia?

Zdziwił się.

— No, czy ci nie krzywda?

— Jakto, pane sudja? Rozsądzili— tak nie krzywda—rzekł z przekonaniem — i „sprawedływo" — dodał po chwili.

Poleciłem staroście dopilnować wykonania wyroku.

Po upływie pół godziny, obaj podsądni, wrócili dziękować za rozsądzenie. Obaj byli zadowoleni i już w najlepszej zgodzie.

Wprawdzie Maksym to jedną, to drugą ręką sięgał za plecy, ale był kontent; Hrihorij zato patrzył, jak zwykle — baranio i bezmyślnie, tylko w żółtych, jego oczach dopalały się resztki jaskiniowej dzikości.

Gdzieś, na drugim końcu wsi zawył pies.

(*Tremens Wł.*)

KRONIKA INWALIDZKA.

Ociemniali.

Odbył się we Lwowie zjazd inwalidów ociemniałych. Są to przeważnie ofiary walk artyleryjskich. Jest ich kilkuset. Trzy instytucje, które niosą im pomoc, („Latarnia" w Warszawie, „Spójnia" we Lwowie i „Związek ociemniałych wojaków" w Poznaniu) robią wprawdzie dużo dobrego, lecz nie tyle, by — jak to słusznie zauważył czujny „Widz" w „Kurjerze Polskim" z dnia 2 maja b. r.— społeczeństwo mogło sobie powiedzieć, że może mieć w tej sprawie zupełnie spokojne sumienie.

Rząd podwoił wprawdzie rentę tych najnieszczęśliwszych na początku roku 1924, ale z powodu niewykonywania ustawy o wypłacie dodatków, kwota należna inwalidom zmalała tak, że po zwaloryzowaniu obliczono ją na 8 groszy (słownie ośm groszy) za cały rok ubiegły!

Może byłoby dość tych kpin waloryzacyjnych i groszowych oszczędności na rentach tych, którzy za wolność płacili „hojnie i gotówką krwi"?! Może czasby już pomyśleć o zniesieniu zastrzeżeń, które robią wrażenie złośliwych świadomie lub nieprzemyślanych (tertium non datur), i zgodzić się z tem, że w budżecie Państwa będą to zaiste grosze, a w budżecie inwalidy sumy! Takie zastrzeżenie, jak np. to, że inwalida, posiadający choćby skromny zarobek, traci rentę, nie wytrzymuje najsłabszej krytyki. A tych zastrzeżeń jest sporo, są i dziwaczne, szególniej te, które dotyczą małżeństwa inwalidów i wdów po inwalidach. Zgodnie z temi zastrzeżeniami małżeństwo inwalidy staje się w pełni prawomocnem dopiero po dwóch latach trwania. Dlaczego? Ano, ponoć obawiano się, że „taki" inwalida może się (na złość) przed samą śmiercią ożenić, — umrze, — a wdowa będzie miała prawo do renty! Otóż nie, panie inwalido! Tak się musisz urządzić, ażebyś się ożenił przynajmniej na dwa lata przed śmiercią!

Doprawdy, kto tak te „sprawy rozpatrywał?" Kto się tak „strasznie" nadużyć tego rodzaju obawiał? Jakież były podstawy i powody tego zastrzeżenia? Bo to chyba nie dowcip. Urzędnik państwowy otrzymuje dodatek na żonę zaraz po wstąpieniu na służbę ewentualnie zaraz po ożenieniu się, a małżeństwo inwalidy staje się „prawomocne" dopiero po dwóch latach? Dlaczego? Może tak przypadkiem ktoś świadomy tych tatajemniczych powodów, notatkę niniejszą przeczyta i zechce łaskawie (raczy i t. d.) zapoznać nas „ciężko zapewne myślących" z powodami i podstawami tego zastrzeżenia? Bo my „ciężko zapewne myślący" jednak jesteśmy przekonani, że po: 1) inwalidom należy się renta zupełnie byt ich zabezpieczająca, 2) pomoc lekarska, szczególnie dla ociemniałych i zagrożonych utratą wzroku, a tych ostatnich jest bardzo wielu, 3) zabezpieczenie instniejących i budowa nowych domów inwalidzkich i 4) pomoc moralna.

Wtedy i ociemniali będą się częściej uśmiechać, a Rząd i społeczeństwo nic na tem nie stracą.

Janusz Wirski.

Bank inwalidzki.

Zanim w następnym zeszycie zdamy dokładnie sprawę z powstania, celów i zasad działalności tej tak doniosłej instytucji, która w życiu organizacji rozpocząć może (i powinna) nową erę, śpieszymy donieść czytelnikom, że Bank inwalidzki już istnieje, i rozpoczął swą działalność na podstawach mocnych, a demokratycznych. Zarząd Główny Związku Inwalidów zakupił „Bank Kredyt Polski w Warszawie" (róg Marszałkowskiej i Królewskiej), zmienił jego nazwę na „Bank Inwalidzki", ustanowił Zarząd i Radę Banku, i przystąpił do nowej emisji 10 tysięcy sztuk akcyj po 100 zł. każda. Emisja ta ma być pokryta w ciągu sześciu miesięcy, a więc poszczególni subskrybenci będą mogli spłacić deklarowane akcje w ciągu sześciu miesięcy.

Każde 4 akcje dają jeden głos (na Walnem Zebraniu Banku), posiadacz 20 sztuk akcyj może być wybrany do Rady Banku, a posiadacz 50 sztuk do Zarządu.

Zaczęto więc budowę wielkiego dzieła. Nie wątpimy, że wszyscy inwalidzi — w zrozumieniu jego doniosłości — poprą tak ważną akcję.

Red.

O metody walki wyborczej.

Ci, z pomiędzy spokojnie myślących i rozważnych członków Warszawskiego Koła Związku Inwalidów, którzy uczestniczyli w ostatnich walnych zebraniach tego Koła (styczniowym i kwietniowym) zdumieni byli i zaniepokojeni metodami walki wyborczej, jakie pewne grupy (dziś już, na szczęście, rozbite i usunięte) na zebraniach tych stosowały. A szczególniej na pierwszem. Widzieliśmy tam „bojówkę" i „bojowców", słyszeliśmy słowa i zdania poprostu ohydne, widzieliśmy gwałt mniejszości otumanionej nad zdezorjentowaną większością. Żywo przypominały się nam metody... bolszewickie. Bolszewickiego komisarza przypominał szczególniej pan M. (dziś już w „stanie spoczynku"), który nie umiał wprawdzie odeprzeć licznych zarzutów, ale który histerycznym krzykiem i warjackiemi gestami, popierany przez „bojówkę" i orkiestrę (tak!) potrafił na krótko zresztą, utrzymać się „przy władzy". Notatki tej, przeznaczonej, oczywiście, dla czytelników-inwalidów, nie pomieszczalibyśmy na tem miejscu, gdyby nie konieczność zwrócenia uwagi na wielkiej wagi a zgubne skutki, jakie takie „metody wyborcze" powodują. Podrywają one przedewszystkiem zaufanie do metod demokratycznych wogóle, a na zewnątrz czynią jak najgorsze wrażenie. Demoralizują żywioł mniej uświadomiony, dają, że tak się wyrazimy, złudzenie władzy jednostkom niepowołanym, wykazują w pewien sposób wyższość zorganizowanej siły nad prawem, a przeto mogą być przykładem kuszącym dla wielu żądnych władzy, a mających możność zorganizować swych zwolenników pod znakiem siły i... obietnic. Z metodami temi więc trzeba walczyć nieubłaganie i stanowczo, i na każdym terenie. Być może, że wprowadzenie tajnego głosowania poprawiłoby znacznie sytuację. Głosowanie jawne (przez podnoszenie rąk) jak z jednej strony daje zawsze podstawę do narzekań i nieufności, tak z drugiej daje właśnie możność zmuszania jednostek słabszych (lub tchórzliwych) do... wstrzymania się od głosowania. Możeby warto nad tem się zastanowić:

W. P.

Związek inwalidów wobec niebezpieczeństwa niemieckiego.

W ostatnim numerze (z dnia 3 maja 1925 r.) „Inwalidy", które to pismo, jak wiadomo, jest naczelnym organem Zw. Inw. Woj. Rzecz. Polskiej, czytamy artykuł wstępny pióra redaktora S. Rosochackiego p. t. „Krwawy policzek już nam został wymierzony", napisany z powodu wyboru Hindenburga na prezydenta Rzeszy. Artykuł ten, jako wyraz przekonania panującego w Związku, za pozwoleniem autora, tutaj powtarzamy.

„Dla nikogo nie jest tajemnicą, każdy kto obserwuje działalność Związku wie dobrze, że my stoimy zdala od waśni — sporów partyjnych, rozproszkowujących moc twórczą narodu. Milczymy i może nieraz niejedno z serc naszych cicho krwawiło, patrząc na tą furję, z jaką przedstawicielstwa partji, stronnictw, grup, grupek, bloczków rzucają się ku sobie, zapominając, że już dawno w swym zapale przekroczono linję graniczną ...i dopiero wypadki z zewnątrz powodują otrzeźwienie-uspokojenie wzburzonych umysłów.

To też nic dziwnego, że stanowisko nasze, dające skwalifikować się, jako „głucho-nieme" z punktu widzenia politycznego dla wielu bardzo działaczów jest „solą w oku"... dla nas zaś, jako twórców gmachu państwowości Rzeczypospolitej, jest najwłaściwszym i najgodniejszym. My mocno i niewzruszenie staliśmy, stoimy i stać będziemy obok tworu naszego i za wszelką cenę, choćby nawet sądzonym nam było oddać ostatnią kroplę krwi, jaką jeszcze posiadamy, do zaprzepaszczenia —uszczuplenia całości dzieła naszych rąk nie dopuścimy.

Nie będę długo rozwodził — uzasadniał słuszności twierdzenia mego, wspomnę tylko o dokonanych czynach, nie frazesach, organizacji naszej: bataljon inwalidzki podczas ofenzywy bolszewickiej na Warszawę, bataljon śląski i rola, jaką inwalidzi wojenni, wdowy i sieroty po poległych odegrali podczas powstania górnośląskiego, stanowisko nasze (odezwa) w momencie „przedsmaku" walk bratobójczych po zamordowaniu ś. p. prezydenta G. Narutowicza. Przypuszczam, że wyżej wymienione czyny są najwymowniejszym twierdzenia mego dowodem. Są to czyny spowodowane chwilą, kiedy z punktu widzenia „politycznego" głuchoniemi prze-

stają nimi być, zabierają głos, jako najbardziej powołani. **I tego prawa nam nikt nie jest w stanie odebrać, albowiem okupione jest ono strumieniami naszej krwi, kalectwem naszym!**

To też i dziś, wychodząc z tego założenia, zabieramy głos, spowodowany niedzielnym (w dn. 26 kwietnia) wyborem na prezydenta Rzeszy Niemieckiej feldmarszałka von Benkendorff-Hindenburga. I jeżeli wybór ten dla polityków był niespodzianką, wywołującą „pewne tylko zaniepokojenie", **to dla rzesz wszystkich krwawych ofiar wojen, wdów i sierot po poległych jest rękawicą-wyzwaniem,— bezczelną prowokacją!**

Tak, dla wszystkich bez wyjątku bo nikt w dobie dzisiejszej już nie uwierzy, nawet dziecko, bo i ono już doznało „dobrodziejstw" wojny, że pan feld!!! — marszałek choćby, niewiem gdzie i jak trzymający-dzierżący różczkę oliwną, to nie ten dawny, prowadzący „wojnę obronną" pod Paryżem i Dźwińskiem, to nie ten zwolennik nieograniczonej walki łodziami podwodnymi, gazami trującymi, ten bezpośredni sprawca miljonów mogił i tyluż kalek?!!

W to dziś już nikt nie uwierzy!

I choć p. von Hindenburg został wczoraj wybrany „jako" prezydent, jutro, będzie występował jako „feld-prezydent", a pojutrze, ten filar monarchizmu i dążeń odwetowych, musi pokazać i pokaże właściwe oblicze..-

Te 15 miljonów głosów niemieckich, które padły na Hindenburga—to widmo nowego pożaru, nowych mordów, nowej rzezi, prowadzonej tym razem, jako „wojna odwetowa" za stracony Poznań i Strasburg!

Rzesze krwawych ofiar wojen wszystko jedno, gdzie się znajdujące i zamieszkujące!

Sześć lat upływa od chwili, gdy huk salw armatnich zwiastował światu powrót pokoju, sześć lat...

Nie zabliźniły się jeszcze rany okopów, co głob cały przecięły, nie przebrzmiały ostatnie okrzyki burzy dziejowej...., a ileż już prysło czczych marzeń!

Czy i mamy wobec tego powiedzieć sobie, że nic nie znaczą słowa ugody i braterstwa, opartego na obopólnym kalectwie — nieszczęściu!

Czy potrzebujemy zwiększenia naszych szeregów, za mało nam kilku miljonów i tyluż śpiących snem wiecznym?!

Co więc czynić należy?!!!

Na was **koledzy niemieccy**, zwrócone są oczy całej rzeszy krwawych ofiar wojny! Na was spada wielka odpowiedzialność, a zarazem i wielka praca, praca która winna być podjętą natychmiast póki jeszcze może nie jest zapóźno! **Praca pacyfikacyjna!** I choć wiemy wszyscy, że pacyfizm jest bezbronnym, wobec wojen, ma on jednakże wielkie zadanie do spełnienia. Jest nim moralne rozbrajanie społeczeństwa, tej większości społeczeństwa Waszego (niemieckiego), które ogarnięte szałem psychozy wojennej, tego niezbędnego warunku do wybuchu wojny, wprowadziło na najwyższy urząd prezydenta p. Benkendorff von Hindenburga.

Musicie to uczynić już — zaraz, albowiem słychać krzyk, wydobywający się z piersi całej rzeszy mas krwawych ofiar wojen: **Feldprezydent von Hindenburg—to nowa rzeź!**

Nie wobec oderwanych niesłusznych pretensji i ambicji, które dadzą się załatwić w inny sposób, lecz wobec żywych, cierpiących ludzi odpowiadamy za krew, jaka spłynąć może!

Krwawy policzek już nam został wymierzony!

Sławomir Rosochacki.

Obietnice a rzeczywistość.

MOTTO: Pamięta się tylko o tych, których się potrzebuje.

Inwalidzi i byli wojskowi w Polsce są dzisiaj, niestety, parjasami. Nie umieją się bronić, nie są na tyle silni, by dochodzić praw swych, a może wierzyli w sprawiedliwość i wdzięczność społeczeństwa. Może wierzyli...

Jednym z przykładów, jaskrawo wykazującym wyrządzaną stale krzywdę, jest sprawa kształcenia dzieci po poległych wojskowych oraz dzieci inwalidów i b. ochotników wojennych w państwowych szkołach średnich.

Mimo zawarowania w rozporządzeniach ciał ustawodawczych i Rady Obrony Państwa pierwszeństwa przy przyjmowaniu dzieci poległych, inwalidów i t. d. do szkół państwowych, mimo, że to pierwszeństwo jest również przywilejem, uzyskiwanym na mocy praw, związanych z orderami „Virtuti Militari" i Krzyżem Walecznych, praw uchwalonych przez władze ustawodawcze,— mimo to dotychczas prawa te pozostały martwą literą i nie są w życie wprowadzone.

Oto dosłownie, co opiewa wydane w tej mierze i obowiązujące obecnie zarządzenie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (Nr. 5537/D. II. z 1923 r.) — „Z pomiędzy uczniów nowowstępujących do państwowych szkół średnich, którzy, odpowiedzą przepisanym warunkom przyjęcia (wiek, świadectwa, zakres wiadomości e. t. c.— przypisek redakcji) należy przedewszystkiem dać pierwszeństwo dzieciom pracowników państwowych i dzieciom osób niezamożnych, z pośród dzieci niezamożnych szczególną uwagę należy zwrócić na dzieci inwalidów wojennych oraz nauczycieli szkół prywatnych".

I taki oto kwiatek wyrasta na bujnej niwie polskiego szkolnictwa. Niezamożni, a pośród nich inwalidzi i jako porównanie nauczyciele szkół prywatnych. Czytając, zdaje się że to tylko żarty. Nie, to prawda. Bolesne kpiny! — Każdy inwalida traktowany jest tutaj jako zwykły niezamożny lub nauczyciel szkoły prywatnej — poprostu należało użyć wyrażenia — żebrak, które bardziej odpowiadałoby intencji zawartej w powyższem zarządzeniu Ministerstwa. Lecz przecież prywatny nauczyciel to nie żebrak. Więc gdzie logika? Pomijam to.

I nawet nie pierwszeństwo dla żebraków, którzy wszystko stracili dla tego, by te szkolnictwo mogło być polskim i w tym duchu rozwijać się. Nawet nie pierwszeństwo, i to nie. Pierwszeństwo przed temi żebrakami mają urzędnicy państwowi i nauczyciele. Nie przesądzam na tem miejscu zasług stanu urzędniczego i nauczycielstwa dla państwa, i nie jestem powołany do tego — nie, — muszę jednakże zaznaczyć, że krew i życie oddawane ofiarnie na jakikolwiek nawet cel są największą zasługą i za nią niema zapłaty i o nie nie może być targów!

Może jesteśmy nędzarzami — ale żebrakami nigdy! Nam chodzi tylko o zrozumienie i o rozgraniczenie pojęć w należnych nam prawach. To cośmy wywalczyli i za co nam poczyniono pewne ulgi i obietnice — to nie żebractwo!

Bat...

Emerytura dla wszystkich żołnierzy — obrońców we Francji.

P. P. Jules Boyer, Simon, Reynand z kilkoma kolegami wnieśli projekt prawa, którego główne linje wytyczne są następujące:

Państwo zapewni emeryturę roczną i dożywotnią dawnym żołnierzom i marynarzom, jakoteż i cywilnym sanitarjuszom i sanitarjuszkom, którzy, między 2 sierpnia 1914 a 11 listopadem 1918, odpowiadali wymaganiom artykułu 2 prawa z dnia 20 lipca 1922 r. dotyczącego możności otrzymania medalu Zwycięstwa. Jednakowoż wojskowi i marynarze, posiadający lub mogący posiadać prawo do emerytury za długoletnią służbę, nie mają prawa do wzmiankowanej emerytury.

Warunek trzymiesięcznej obecności w danej jednostce bojowej nie może być stosowany do żołnierzy — inwalidów zdemobilizowanych z powodu rany wojennej lub choroby nabytej na froncie.

Emerytura byłaby obrachowana w stosunku 10 franków za każdy miesiąc pobytu w armjach, stosownie do warunków wyłuszczonych w artykule 1-ym; każdy zaczęty miesiąc liczyłby się za cały. Emerytura minimalna wynosiłaby 100 fr. nawet gdyby pobyt — równy chociażby trzem miesiącom nie sięgał 10 miesięcy.

Wniosek uważa, iż jeńcy wojenni należą ciągle do jednostki bojowej, do której należeli przed wzięciem do niewoli.

Wojskowi i cywilni, którzy w czasie wojny popełnili czyn karalny kodeksem wojskowym (wyjąwszy umorzenie przez amnestję) nie mieli by prawa do tej emerytury.

K. A. P.

Dziwny brak danych.

Redakcja już przed kilku tygodniami zwracała się do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy z prośbą o dostarczenie danych, dotyczących bezrobocia wśród inwalidów. Otrzymaliśmy nareszcie odpowiedź, że z powodu choroby urzędnika „odnośne papiery" leżą w szufladzie, a przeto danych otrzymać nie możemy. Bez komentarzy.

Zjazd wojewódzki w Płocku.

Odbył się w niedzielę (dn. 24.V b. r.) zjazd delegatów województwa warszawskiego w Płocku. Koło Płockie przygotowało nader miłe przyjęcie, obrady odbyły się w spokojnym i poważnym nastroju. Obszerne sprawozdanie zamieścimy w następnym numerze.

Wiadomości z drugiej półkuli.

Nasz korespondent p. inż. Henryk Krukowski wyjechał w ostatnich dniach do Ameryki, skąd nadeśle nam cykl wiadomości bogato ilustrowanych z życia tamtejszych organizacji b. Wojskowych i Kolonji polskiej, które pomieścimy w Nr. 2-m.

Korespondencje te będą tym ciekawsze, że p. Krukowski, pracując jako prosty robotnik przy eksploatacji lasów, warunki bytu polskiego robotnika pozna dokładnie.

Sprawa koncesji.

W tych dniach Sejm ostatecznie ma zdecydować sprawę koncesyj. Podajemy tu odnośne rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej:

Dziennik Ustaw Nr. 14 z 1924 r. poz. 1022.
Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z d. 17/XII 24 r. w przedmiocie rewizji uprawnień (koncesji) na sprzedaż przedmiotów objętych monopolem skarbowym.

Na podstawie art. 1 lit. A p. 9 ustawy z d. 31 lipca 1924 r. (Dz. U. R. P. Nr. 71, poz. 687) oraz zgodnie z uchwałą Rady Ministrów z dnia 17 grudnia 1924 r. stanowię co następuje:

§ 1. Niezależnie od wypadków, przewidzianych w obowiązujących ustawach i rozporządzeniach cofną upoważnione do tego przez Ministra Skarbu władze skarbowe stopniowo począwszy od 1 stycznia 1925 roku w ciągu najdalej dwóch lat od tego terminu dotychczasowe koncesje na przedsiębiorstwa sprzedaży wyrobów monopolowych bez odszkodowania i bez podania powodów najmniej z trzymiesięcznym terminem wypowiedzenia, za zwrotem nie wykorzystanej części patentu.

Wyjątek stanowić będą koncesje udzielane na rzecz:

a) inwalidów wojennych, oraz wdów i sierot po inwalidach wojennych, tudzież po osobach wojskowych zaginionych w toku i skutkiem działań wojennych, lub osób wojskowych poległych lub zmarłych wskutek służby wojskowej, o ile te osoby byłyby zostały jedynymi żywicielami swych rodziców

b) emerytów wojskowych i państwowych, weteranów z powstania r. 1863 oraz zasłużonych żołnierzy zdemobilizowanych Wojska Polskiego i innych uczestników walk o niepodległość w latach 1914—21;

c) wdów i sierot po funkcjonarjuszach państwowych i samorządowych oraz osób, które utraciły możność samodzielnego bytu skutkiem swej ofiarnej działalności dla sprawy polskiej na polu społecznem, politycznem i kulturalno-oświatowem;

d) stowarzyszeń spożywczych, kooperatyw, kółek rolniczych i t.p. instytucyj społecznych oraz instytucyj humanitarnych.

Również nie ulegają cofnięciu koncesje, udzielone na rzecz związków osób w punktach a — c wymienionych, a posiadających osobowość prawną.

Wymienione w punktach, a — c koncesje nie będą cofnięte tylko w razie ich wykonywania przez uprawnionych osobiście lub też przez osoby, należące do najbliższej rodziny, albo przez zatwierdzonych przez kompetentne władze zastępców.

§ 2. Pozwolenie na nabywanie wyrobów tytuniowych celem rozdziału między swych członków, wydane po myśli § 4 rozporządzenia Ministra Skarbu z dnia 20 marca 1923 r. (Dz. U. R. Nr. 42, poz. 285) na rzecz spółdzielczych związków, spożywczych oraz stowarzyszeń o charakterze społecznym, zrzeszeń i instytucyj, nie podpada pod pojęcie koncesyj ulegających cofnięciu od d. 1 stycznia 1925 r.

Postanowienia § 1 o cofnięciu koncesyj nie odnoszą się również do przewidzianych w § 6 wspomnianego rozporządzenia Ministra Skarbu t. zw. domowych sprzedaży wyrobów tytuniowych, czasowych sklepów tytuniowych i koszarowej sprzedaży wyrobów tytuniowych.

§ 3. Koncesje wygasłe w myśl § 1 niniejszego rozporządzenia oraz koncesje opróżnione z innych powodów winny być najdalej do trzech miesięcy ponownie nadane z uwzględnieniem obowiązujących ustaw. Pierwszeństwo przy ich rozdzielaniu będą miały instytucje i osoby fizyczne i prawne, wymienione w § 1 p. a— d, z uwzględnieniem przytem osobistych kwalifikacyj.

Przewidziane w niniejszym artykule pierwszeństwo polega na obowiązku właściwych władz koncesyjnych uwzględniania w pierwszym rzędzie osób uprzywilejowanych, posiadających wszelkie wymagane przez dotyczące przepisy warunki dla nadania koncesji.

W obrębie osób i instytucyj uprzywilejowanych ubiegających się o koncesje, a mających

różne kwalifikacje, udziela władza koncesyjna uprawnienia osobie lub instytucji według swego uznania.

§ 4. Ze względu na gospodarcze interesy Państwa może Minister Skarbu koncesje ulegające cofnięciu w myśl § 1 utrzymać w indywidualnych wypadkach, zasługujących na uwzględnienie nadal w mocy.

§ 5. Rozporządzenie niniejsze obowiązuje na obszarze całego państwa, a w górnośląskiej części województwa śląskiego przy zachowaniu wymogów art. 4 konwencji niemiecko-polskiej w sprawie Górnego Śląska, ratyfikowanej w dniu 1 czerwca 1922 r. (Dz. U. R. P. Nr. 44, poz. 371).

§ 6. Wykonanie rozporządzenia niniejszego porucza się Ministrowi Skarbu.

§ 7. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Prezydent Rzeczypospolitej
St. Wojciechowski.

Prezydent Rady Ministrów i Minister Skarbu
W. Grabski.

Od Sejmu zależy wprowadzenie tych rozporządzeń w życie. „Inwalida" pisze:

Teraz pozostanie nam tylko jeszcze czuwanie nad tem, aby to nowe prawo nabyte nie pozostało prawem papierowem ale ujawniło się w życiu praktycznem. Dużo od nas samych zależy, jak szybko korzystać zaczniemy z tego owocu. Niejedną nam jeszcze przyjdzie przeprowadzić pracę, niejedną złożyć ofiarę, aby stosunki na podstawie tego prawa ukształtowały się wedle naszego życzenia i zgodnie z interesem Państwa.

Szaleństwo wojny.

10 maja 1924 roku Victor L. Berger, deputowany z okręgu Wisebusin, wystąpił w amerykańskiej izbie reprezentantów z następującą mową: Ostatnia wojna europejska rzeczywiście zasługuje na mieno „światowej", była ona największem nieszczęściem, jakie kiedykolwiek nawiedziło białą rasę. Według najdokładniejszych statystyk, jakie można było otrzymać, wojna pochłonęła 30.000.000 istnień ludzkich, (licząc także zwiększoną śmiertelność i zmniejszoną liczbę urodzeń): kosztowała do 400 miljardów dolarów. Za pieniądze te, gdyby zostały wydane w celach pokoju i postępu, możnaby było wykonać następujące rzeczy:

Zbudować dom wartości 2,500 dolarów, zaopatrzyć w sprzęty wartości 1,000 dolarów, otoczyć ogródkiem za 500 dol. i dać taki dom każdej rodzinie Stanów Zjednoczonych, Kanady; Austrji, Anglji, Irlandji, Francji, Belgji, Niemiec i Rosji. Po tem wszystkiem zostanie jeszcze dość pieniędzy, żeby zbudować w każdem mieście tych wszystkich krajów, liczącem przeszło 20 tysięcy mieszkańców, księgozbiór za 5 miljonów dol. i uniwersytet za 10 miljonów dol. Gdyby pozostałą sumę oddać do banku na 5 proc. rocznie, to za te 5 proc. możnaby było utrzymać 125,000 nauczycieli z pensjami 1,000 dol. i prócz tego 125,000 pielęgniarek z taką samą pensją. Po dokonaniu tego wszystkiego zostanie nam z tych 400.000.000.000. dol. (czterysta miljardów dol.!) tyle, że będziemy mogli odkupić całą Francję i Belgję ze wszystkiem tem, co posiadają, to znaczy zapłacić za każdy dwór, dom, fabrykę, kościół, drogę żelazną, tramwaj, słowem za wszystko, co oba kraje posiadają wartościowego. Należy tu zaznaczyć, że w roku 1914 ogólne bogactwo narodowe Francji wynosiło według oficjalnych statystyk francuskich 62 miljardy dolarów, a Belgji — według oficjalnych statystyk belgijskich 12 miljardów dolarów.

SPRAWOZDANIA Z DZIAŁALNOŚCI KAS CHORYCH.

Krótkie sprawozdanie z powstania Kasy Chorych w Żyrardowie i działalności jej za okres pierwszych 2-ch lat.

Kasa Chorych na powiat Błoński powstała w listopadzie 1922 r. Jako siedzibę Zarządu Kasy i główniejszych biur wybrano Żyrardów, który pod wielu względami najwięcej miał po temu warunków, a przedewszystkiem posiadał największą ilość osób, podlegających ubezpieczeniu, a zatrudnionych w zakładach akcyjnych wyrobów włókienniczych. Powstanie tej nowej placówki ubezpieczeniowej przyjęte było niechętnie — można powiedzieć wprost wrogo przez podlegających ubezpieczeniu pracowników, nie orjentujących się dostatecznie w zasadach ubezpieczeń społecznych. Prawda pod względem z-pewnienia pomocy lekarskiej pracownikom, Żyrardów był w wyjątkowo dobrych warunkach, istniał tutaj bowiem szpital, ambulatorjum dla przychodzących chorych, wydawane były zasiłki niezdolnym do pracy i położnicom. Dotyczylo to jednak wyłącznie osób, zatrudnionych w Zakładach Żyrardowskich. Natomiast pracownicy innych zakładów zupełnie byli pozbawieni pomocy lekarskiej i w razie choroby zmuszeni byli z własnych funduszów opłacać pomoc lekarską jak również i aptekę, dzięki czemu niejednokrotnie z niej wcale nie korzystali. Walcząc z ogólną niechęcią, trudnemi warunkami mieszkaniowemi, niedomaganiami finansowemi, wynikającemi wskutek niewpłacania przez niektórych pracodawców składek, deprecjacją marki, Kasa Chorych w Żyrardowie krok za krokiem wywalczała sobie prawo obywatelstwa, powstawały coraz to nowe ambulatorja, a więc w Błoniu, Mszczonowie, Radziejowicach, Guzowie, Grodzisku, Józefowie, Michałowie i punkt w Brwinowie.

Ambulatorja te, oraz Kasa Chorych w Skierniewicach, która otwarta została we wrześniu 1923 r. narazie jako filja Żyrardowskiej, urządzone skromnie, lecz z uwzględnieniem nowoczesnych wymagań wiedzy lekarskiej posiadają gabinety lekarskie, w części dentystyczne i apteczki, i udzielają na miejscu wszelkich świadczeń lekarskich.

Dzięki wprowadzeniu pewnych świadczeń, których nawet Zakłady Żyrardowskie poprzednio nie udzielały, jak pomocy dentystycznej w bardzo szerokiem zakresie, pomocy akuszeryjnej, wysyłania do specjalistów prześwietlania promieniami Roentgena w celach djagnostycznych i leczniczych, Kasa Chorych zyskiwała sobie coraz większe zaufanie wśród mas robotniczych.

Jednocześnie w Żyrardowie w roku 1923 powstał zakład fizykalnego leczenia, w którym stosowano naświetlania lampami kwarcowemi, kąpiele świetlne, elektryczne, elektryzacje, djatermię i t. d. O wzrastającem zaufaniu do tego rodzaju leczenia świadczą wymownie następujące cyfry: w 1923 roku leczyło się 104 osoby, zabiegów dokonano 1052, w roku 1924 leczyło się 312 osób, zabiegów 3120.

Działalność Kasy wogóle, stwierdzają następujące liczby: na dzień 1 stycznia 1924 r. ilość ubezpieczonych wraz z rodzinami stanowiła 22.206 osób, udzielono porad lekarskich w 1923 r. 82.615, dentystycznych 28.497, pomocy akuszeryjnej 542, skierowano do szpitali 471 osób, zaś na 1 stycznia 1925 roku ubezpieczonych wraz z rodzinami było 21.680 osób, udzielono porad lekarskich w 1924 roku 96.943, dentystycznych 30.169, pomocy akuszeryjnej 823, skierowano do szpitali 758 osób. Jeżeli do tego doda się jeszcze, że Kasa Chorych wypłaca zasiłki ubezpieczonym niezdolnym do pracy, położnicom, leczącym się w szpitalu i pogrzebowe, co za rok 1924 uczyniło 207.203 zł. 33 gr., stanie się widocznem, iż działalność Kasy Chorych jest bardzo rozległa i wymaga wytężonej pracy tembardziej, że Kasa Chorych stoi wobec całego szeregu zagadnień, które musi rozwiązać, np.: budowa własnego domu, przejęcie szpitala fabrycznego, uruchomienie zakładu położniczego, przychodni dla gruźliczych, zabezpieczenie leczenia sanatoryjnego ubezpieczonym.

Wszystko to są rzeczy o niezwykle doniosłem znaczeniu, które już to częściowo zostały

wykonane, już to znajdują się w opracowaniu. Dodać tu trzeba, że Kasa Chorych, z natury rzeczy, jest ściśle związana z zakładami przemysłowemi powiatu Błońskiego i wszelka stagnacja, czy redukcja pracy w takowych odbija się szkodliwie na jej działalność. To widzi się i obecnie i jest przeszkodą w dalszej twórczej pracy tej instytucji. 200

Kasa Chorych m. Wilna rozpoczęła swoją działalność z dniem 24 października 1921 roku. Obecnie ilość ubezpieczonych wynosi 21.422 osoby, a razem z członkami rodzin — 41.698 osob, co stanowi prawie 1/4 ludności miasta Wilna. Kasa Chorych posiada Poliklinikę Centralną przy ul. Dominikańskiej Nr. 15 oraz 2 Przychodnie rejonowe: przy ul. Antokolskiej 62 i przy ul. Kalwaryjskiej 29. Razem w Poliklinice i Przychodnich przyjmuje się dzienne do 1.200 chorych. Z apteki kasowej wydaje się miesięcznie do 20.000 recept.

W roku 1924 w instytucjach leczniczych Kasy Chorych udzielono 208.503 porad lekarskich, w domu u chorych — 21.998, do szpitali skierowano 3.075, w tem do 1.000 położnic.

Składek członkowskich w roku 1924 wpłynęło do 1.700.000 zł., wydano na cele lecznicze około 750.000 zł., na zasiłki pieniężne — do 165.000 zł.

Na czele Kasy Chorych stoi Rada, składająca się z 48 członków, w tem 32 przedstawicieli ubezpieczonych i 16 — pracodawców oraz Zarząd w składzie 9 członków, w tem 6 ubezpieczonych i 3 pracodawców.

Kasa posiada własną nieruchomość przy ul. Sądowej Nr. 25 wartości 420.000 zł.

574

Powiatowa Kasa Chorych w Białymstoku egzystuje od listopada 1922 roku, posiada 12 ambulatorjów urządzonych przez Kasę Chorych i jedną aptekę. W roku 1924 udzielono było przez 32 lekarzy 129.039 porad lekarskich, 30.462 osobom, oraz leczono w szpitalach 653 chorych w przeciągu 14.358 dni. Suma wydatków na lecznictwo wynosiła Zł. 397.456. Obecna (dn. 16 kwietnia r. b.) ilość ubezpieczonych 6.500 członków i 5.200 ich rodzin.

573

Historja powstania i rozwoju Powiatowej Kasy Chorych w Lublinie.

Wśród wielu przeszkód, tamujących rozwój naszego życia gospodarczego, jedną z najpoważniejszych jest, trwająca przeszło lat 10, stagnacja ruchu budowlanego. Ta ogólna bolączka odbija się w każdej dziedzinie życia, wywiera swój wpływ również na przeprowadzenie reform społecznych, wśród których pierwsze miejsce zajmuje organizacja Kas Chorych na terenie całego Państwa.

Historja organizacji Kas Chorych, a historja organizacji Powiatowej Kasy Chorych w Lublinie w szczególności stwierdza, jakim hamulcem jest trudność zdobycia dachu, który przy organizacji jakiejkolwiek instytucji jest podstawą jej bytu.

Z charakteru Kasy Chorych wynika pewna konieczna dość wielka ilość pomieszczeń; trudno sobie wyobrazić pomieszczenie w ograniczonej liczbie ubikacji tak różnych rzeczy jak biur i ambulatorjów leczniczych dla rozlicznych specjalności lekarskich.

To też zdobycie lokalów i rozbudowa Kasy Chorych w Lublinie odrazu na dość szerokiej podstawie jest niemałą zasługą Komisarza Rządowego p. Dyonizego Kaweckiego, który jako organizator Kas Chorych dla województw warszawskiego a później lubelskiego i kieleckiego, w maju 1923 r. przystąpił do organizacji lubelskiej Powiatowej Kasy Chorych.

Pierwszym etapem organizacji było zdobycie lokalów, co na terenie Lublina szczególne przedstawiało trudności.

Po długich staraniach skłoniono wreszcie właściciela domu przy ulicy Kapucyńskiej 6 do nadbudowy 3-go piętra i wynajęcia Kasie uzyskanych w ten sposób 17-stu pokojów dla pomieszczenia biur i ambulatorjów.

W trakcie tej nadbudowy, zdołano w styczniu 1924 r. wynająć przy Placu Bychawskim 3 (w dzielnicy robotniczej) 7-pokojowy lokal na cele ambulatorjum dla mieszkańców dzielnicy fabrycznej.

W tych to z niemałym trudem zdobytych lokalach przystąpiono do pracy, otwierając 10 marca 1924 r. Powiatową Kasę Chorych w Lublinie.

Szybki wzrost lecznictwa zobrazują cyfry: Gdy w marcu 1924 r. ilość udzielonych porad wynosiła ledwo 2.752 — w następnym już miesiącu wzrosła niemal w trójnasób

(7.562), osiągając w październiku 1924 r. cyfrę 13.423.

Na tej mniej więcej wyżynie utrzymuje się rozmiar udzielania pomocy lekarskiej.

Gdy się weźmie pod uwagę, że pomoc lekarska udzielana członkom lubelskiej Kasy i ich rodzinom nie ogranicza się na szablonowym traktowaniu chorego, że np. w Instytucie dentystycznym uruchomiono oddział techniczny, umożliwiający uzupełnianie uzębienia, w laboratorjach przeprowadza się cały szereg analiz djagnostycznych, w własnych zakładach elektroterapji leczy się cały szereg dzieci i dorosłych — przyznać się musi, że lecznictwo w lubelskiej Kasie nie tylko ilościowo, ale i jakościowo stoi na wysokim poziomie.

W związku ze stałym rozwojem Kasy, okazały się wynajęte lokale prędzej niżby przypuszczać można — niewystarczające.

Już z końcem lata 1924 r. Zarząd Kasy był zmuszonym pomyśleć o nowej siedzibie. Z powodu niemożności wynajęcia odpowiedniego lokalu, zdecydowano się na stworzenie własnego domu. W tym to celu zakupiono niewykończony czteropiętrowy dom czynszowy przy ulicy Hipotecznej 4, wykończając go specjalnie dla celów ambulatorjów, a parter dla apteki Kasy, której stworzenie było koniecznością, podyktowaną względami praktycznymi.

W wytężonej pracy, wśród piętrzących się trudności finansowych doprowadzone w krótkim przeciągu czasu do stworzenia gmachu ambulatoryjnego i własnej apteki.

W dniu 8 marca 1925 r. nastąpiło przy współudziale reprezentantów władz centralnych i miejscowych oraz zaproszonych gości z całego Państwa uroczyste poświęcenie gmachu.

Gmach ten, to chluba Kasy lubelskiej: Obejmując 33 pełnych powietrza i światła ubikacji, mieszcząc w sobie pierwszorzędne urządzenia lecznicze, aptekę uposażoną we wszelkie leki krajowe i zagraniczne — stał się dom przy ulicy Hipotecznej 4 ostoją zdrowia szerokich warstw społeczeństwa.

Obszerny ogród, otaczający Centralne Ambulatorjum Kasy, daje możność na przyszłość rozbudowy gmachów Kasy.

Niezależnie od Ambulatorjum Centralnego, czynne jest również Ambulatorjum filjalne przy Placu Bychawskim 3.

Dnia 22 marca 1925 r. odbyły się wybory do Rady Kasy, oddające ster gospodarki w ręce lubelskiego społeczeństwa.

581

Powiatowa Kasa Chorych w Radomiu uruchomiona została dnia 1 listopada 1922 r. Do października 1924 r. pozostawała pod kierownictwem Komisarza rządowego, poczem władzę objęła Rada i Zarząd z wyborów.

Przez czas swego istnienia Kasa Radomska zdołała utrwalić swe podstawy finansowe, nabywając na własność w śródmieściu, składającą się z dwóch gmachów murowanych obszernego placu i ogrodu owocowego.

W dziedzinie lecznictwa Kasa Chorych poczyniła cały szereg inwestycji i ulepszeń. Ze wzrostem ilości członków (przy uruchomieniu do 5.000, obecnie ponad 11.000) należało przystosować Kasę do szerszej działalności. Prócz centralnego ambulatorjum uruchomiono dodatkowo 3 ambulatorja na mieście, tak że obecnie czynnych jest 7 gabinetów lekarskich, w których udziela porad 25 dyplomowanych lekarzy przy 34 godz. ordynacji z uwzględnieniem wszystkich specjalności. Prócz tego udziela pomocy 3-ch lekarzy dentystów w ciągu 10-ciu godzin. Czynna jest nadto jedna lampa kwarcowa dla naświetlań powierzchowych oraz laboratorjum analityczne.

Obecnie dokonywana jest nadbudowa gmachu centralnego ambulatorjum w celu uruchomienia w jesieni b. r. działu leczenia fizykalnego (Roentgen, diatermia, 2 lampy kwarcowe, pantostat).

Kasa posiada również własną aptekę (8 pracowników), w której wykonywane jest całe zapotrzebowanie leków dla chorych kasowych. Od dwu lat w czasie letnich miesięcy Kasa prowadzi w lesistej okolicy pod Radomiem kolonję dla dzieci, dotkniętych gruźlicą. W sezonie 60—70 dzieci ktorzysta ze zdrowego powietrza i obfitego pożywenia, z nader korzystnymi wynikami. Prócz tego Kasa wysyła co miesiąc po kilkadziesiąt osób do specjalnego leczenia w Warszawie i Krakowie.

Obecny Zarząd Kasy zakreślił na najbliższą przyszłość szeroki plan dalszej rozbudowy Kasy i ulepszeń w zakresie lecznictwa.

627

Powiatowa Kasa Chorych w Piotrkowie utworzona reskryptem Ministra Pracy i Opieki Społecznej z dn. 14/VIII. 1922 r. Nr. 1708/III. rozpoczeła działalność swoją w Piotrkowie w dniu 9 kwietnia 1923 r.

Oprócz Centrali Kasy w Piotrkowie zorganizowane są 3 oddziały w powiecie: w Sulejowie, Bełchatowie Moszczenicy; czwarty oddział w Kamieńsku znajduje się w stadjum organizowania.

Według stanu z dn. maja 1925 r. Kasa liczyła:

a) ubezpieczonych . .	11.452 osoby
b) członków rodzin .	11.243 „
razem:	22.695 osób.

Przeciętnie Kasa udziela 9.000 porad (lekarskich, dentystycznych i felczerskich) miesięcznie.

Miejsca porad lekarskich rozmieszczone są w 9 punktach. Gabinetów lekarskich jest 17.

Kasa posiada własną aptekę w Piotrkowie, która całkowicie obsługuje chorych na miejscu. Laboratorjum farmaceutyczne Kasy wytwarza cały szereg specyfików.

Kasa zatrudnea 15 lekarzy, 4 dentystów, 6 felczerów i 1 pielęgniarkę. Pomocy położniczej udziela 20 akuszerek. Personel adminisrracyjny składa się z 18 urzędników (łącznie z pracownikami biur zgłoszeń w ambulatorjach) i 5 osób służby. Personel apteki składa się z 1 kierownika, 5 pomocników aptekarskich, 1 urzędnika, 1 fasowacza i 2 osób stużby.

W najbliższej przyszłości uruchomiony zostanie gabinet terapji fizykalnej oraz laboratorjum analityczne.

Powiatowa Kasa Chorych w Częstochowie działalność swą rozpoczęła w dniu 1 grudnia 1922 r.

Władza Kasy: Rada i Zarząd

Przewodniczącym Rady został wybrany: p. Antoni KIERMAS, Przewodniczącym Zarządu p. inż B. HŁASKO, Kierownik Kasy Dyrektor p. T. WITKOWSKI.

Ilość członków ubezpieczonych wynosi 30.000 Ilość członków rodzin 45.000.

Kasa posiada własny szpital na 30 łóżek, oprócz tego 18 ambulatorjów, 3 apteki własne, aparat Roentgena. Kasa zatrudnia 17 lekarzy, 22 felczerów, oraz 14 osób niższej służby sanitarnej.

513

Powiatowa Kasa Chorych w Sosnowcu otwarta została dnia 1-go kwietnia 1920 roku.

Władze Kasy są następujące:

P. Kazimierz OSIOWSKI: Komisarz z ramienia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, sprawujący funkcję Zarządu i Rady Kasy,

P. Dr. Józef ZELENAY: Lekarz Naczelny

Ilość członków ubezpieczonych: 121.634

Ilość „ rodzin: 157.850

Centrala Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu składa się z następujących Wydziałów:

1) Ogólny, 2) Lekarski, 3) Rejestracyjny, 4) Apteczny, 5) Gospodarczy, 6) Finansowy.

Centrali podlegają:

1) 4 Filje: w Sosnowcu, Będzinie, Dąbrowie i Zawierciu,
2) 42 ambulatorjów w tem jedno specjalistyczne „Oczne".

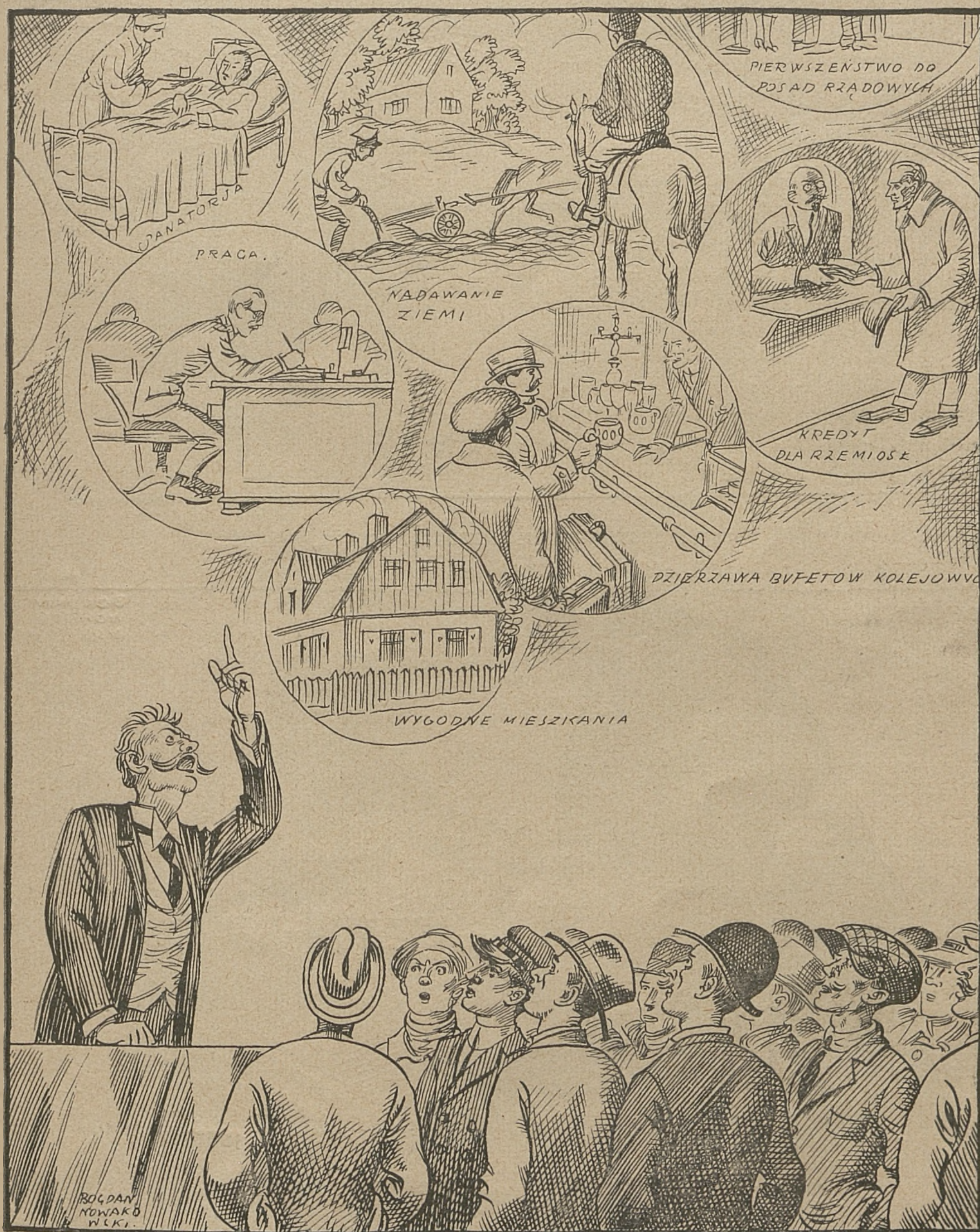
Kasa posiada:

1) 10 szpitali
2) Centralną Składnicę Sanitarną
3) Laboratorjum Wytwórcze
4) Pracownię analityczną
5) 13 aptek i 23 apteczek ambulatoryjnych
6) Instytut Roentgena i Fizjatrji
7) Gabinet lamp kwarcowych
8) Gabinet bakteorologiczny, chemiczny i histopatologiczny
9) Gabinety dentystyczne przy ambulatorjach.

Kasa zatrudnia: 84 lekarzy, 19 lekarzy dentystów, 78 felczerów, 37 sanitarjuszy, 24 prowizorów aptecznych, 46 pomocników aptecznych, 248 urzędników, służbę zdrowia i t. d. razem 900 pracowników.

523

HUMOR INWALIDZKI.



OTO, CO OBIECYWANO W ROKU 1920.

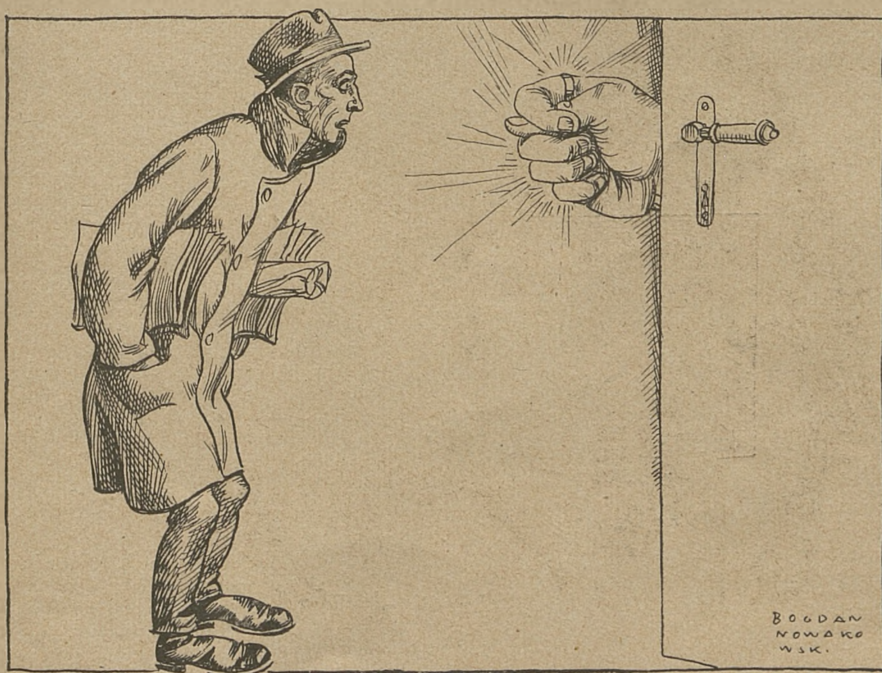
ZIEMIA? JEST, ALE JĄ TRZEBA PAZURAMI DRAPAĆ!

BOGDAN NOWAKOWSKI.

KREDYT? JEST. U MOŚKA 15% MIESIĘCZNIE!



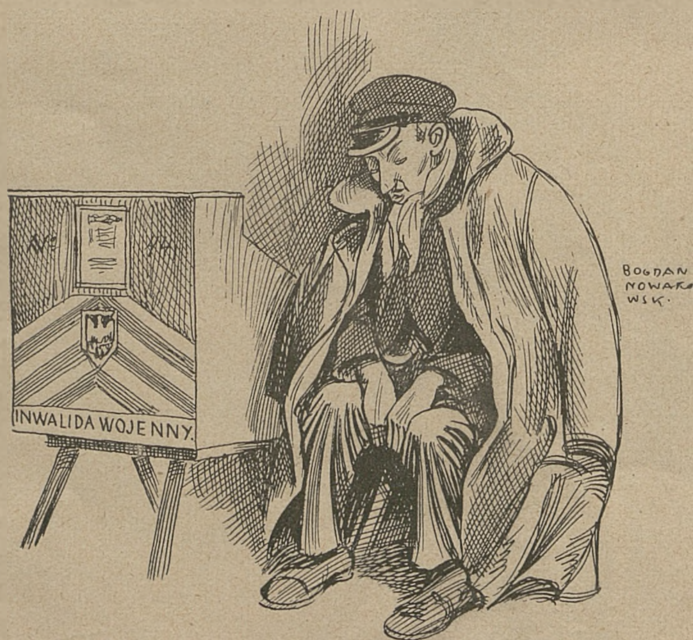
MIESZKANIE? ANO, PSU MOŻNA POZAZDROŚCIĆ.



POSADY? A JAKŻE!



BUFETY? OWSZEM, WÓDKI SIĘ MOŻNA PRZY NICH NAPIĆ!



OTO... JEDYNA POCIECHA!

MARSZ INWALIDÓW.

(Na znaną nutę żołnierską)

Niema to jak inwalida,
raz, dwa, trzy!
Co miał, zaniósł już do żyda,
raz, dwa, trzy!
Teraz chodzi bosy, goły,
raz, dwa, trzy!
Jak te święte Apostoły!
raz, dwa, trzy!
Gdy was Trocki brał za kołnierz,
raz, dwa, trzy!
To był dobry polski żołnierz,
raz, dwa, trzy!
Dziś, gdy Trocki siedzi zcicha,
raz, dwa, trzy!
Niech inwalid z głodu zdycha,
raz, dwa, trzy!
Pocóż z nim wyprawiać zbytki,
raz, dwa, trzy!
Gdy się wam nie trzęsą łydki.
raz, dwa, trzy!
Chociaż Grabski ma „pieniochy",
raz, dwa, trzy!
Ty, inwalid, żyj z darmochy,
raz, dwa, trzy!
Grabski miarkę ma nierówną,
raz, dwa, trzy!
Jednym złoto, a nam gu...zik,
raz, dwa, trzy!
Co z Virtuti, co z parady,
raz, dwa, trzy!
Gdy jesteśmy oberdziady,
raz, dwa, trzy!
Gdy nam każe polska macierz
raz, dwa, trzy!
Pod kościołem klepać pacierz!
raz, dwa, trzy!

POKRZYWY.

Jak rozmawia inwalida z lekarzem badającym go w Ekspozyturze:

lek. Nazywacie się X. Y.?
inw. tak.
lek. urodzony w r. 1875, w Ptaszowie?
inw. tak.
lek. żonaty, 2 dzieci
inw. tak.
lek. macie postrzeloną lewą rękę?
inw. tak,
lek. możecie nią ruszać? prawda
inw. nie.
lek. ale możecie zginać w łokciu? tak
inw. nie.
lek. no ale pracować to możecie?
inw. nie.
lek. ale wam nic nie brakuje, jesteście zdrowi. No tak?
inw. nie.

WETERANI.

Weteran porucznik z 1863:

— Przypomina mnie sobie teraz pan Generał?

Weteran generał z b. armji rosyjskiej:

— Tak. Tak! Pamiętam! Pod Małogoszczą wziął ja pana w plen i nawet chciałem pana rozstrzelać. Nu naczalstwo pana pomiłowało. No i cóż, drogi panie, kto z nas miał rację. Mówiłem panu, że pan na fałszywej drodze. Ot, ja teraz polskij generał w odstawce, a pan, cóż? Tylko podporucznik.

Przyjaciele naszego pisma popierajcie tych, którzy nas popierają!

(ALFABETYCZNY WYKAZ FIRM, KTÓRE ZAMIEŚCIŁY W NUMERZE I-YM PŁATNE ADRESY).

BĘDZIN

Szkoły średnie — Rzymowska J., gimn. żeń.
Śruby i gwoździe — Szajn B-cia

BIAŁYSTOK

Apteki — Gessner O., Lipowa 18

CZĘSTOCHOWA

Banki — Spółdzielczy Bank Ludowy
Bławatne towary — Cholewicki J., 2 Aleja 23
Cukiernie — Błaszczyński
„Bonbons de Varsovie", Kowalski B., 2 Aleja 41
„Cristal", I-sza Sp. Warsz. prac. Gastr., P. Marji 27, tel. 90
Litasz S. fabr. herbatnik., 2 Aleja 26
Kina — „Nowy", P. Marji 43
Klasztor Jasnogórski
Kolonjalne tow. — Karwińska W., Aleja 23
Lekarze — Bram A. zakł. roentgen., Kościuszki 1
Optycy — Soczek K., 2 Aleja 16
Restauracje — „Udziałowa" przy hotelu „Polonja"
Świec fabr. — Górka H., P. Marji 60
Ubezpieczenia — Zw. Ubezp. Przemysł. Polsk.

DĄBROWA GÓRN.

Broń — Schabowski J., Sobieskiego 10, tel. 109

KUTNO

Banki — Chrześcij. Spółdz. Bank Ludowy., N. Rynek 37
Bławatne tow. — „Kutnowianka" sp. akc., N. Rynek 37
Bufety — Bufet kolejowy
Młyny — Oliński A., Zawadzka 35
ódki, Wina, Likiery — Sułkowski W. i Kowalski W., N. Rynek 35, tel. 74

LUBLIN

Apteczne składy — Noskowicz A., Św. Duska 12
Cukiernie — „Cukiernia Teatralna" Namiestnikowska 13
„Pluton" Kapucyńska 2
Krawcy — Lewin A., Św. Duska 8
Księgarnie — Cholewińscy W. i J., Krak. Przedm. 38
Lekarze — Bronsztein, dr. Kościuszki 3
Roboty ręczne — „Roboty ręczne" sp. z o. o.
Tkalnie — Tkalnia Mechaniczna, Browarna 2

ŁOWICZ

Apteczne składy — Garwacki A., Zduńska 5
Bławatne towary — Blichewicz K., Zduńska 2
Cukiernie — Gierasiewicz J., Pl. Kościuszki 15
Drukarnie i księg. — Rybacki K., St. Rynek 11
Księgarnie — Kronenberg S., St. Rynek 13
Restauracje — „Bar Staropolski", Malinowski H., Warszawska 5
Tkackie narzędzia — Balcer F., N. Rynek 5
Wędliniarnie — Głogowska A., N. Rynek 4

ŁÓDŹ

Bławatne tow. — Leszczyński, Lekowicz i S-ka Sienkiewicza 20
Cukiernie — Grygendler F., Piotrkowska 62a
Wiener S., Narutowicza 19
Dystrybucje — Siekierski K., Andrzeja 16
Galanterja — Jarosławski M.
Jarocińska K., Piotrkowska 121
Jadłodajnie — Karo S., Zawadzka 4
Jubilerskie zakł. — Goldin O. P., Piotrkowska 33
Manufaktura — Koczyński K. i Kapłun W., Piotrkowska 71
Mięso — Nusen F., Narutowicza 5
Noże — Koperski H., Konstantynowska 35
Osoby prywatne — Angelewicz Z., Narutowicza 8
Kurt E., Główna 31
Markus i Chasin, Cegielniana 23
Pol. G., Nawrot 62
Prul W., Nawrot 52
Teurych W., Pańska 73
Piwiarnie — Budny S., Zamenhofa 11
Głębowski Z., Sienkiewicza 22
Kłąb M., Brzezińska 48
Kołowaczyk A., Pańska 8
Kowalska K., Szosa Korolewska 43
Krasnowski B., Zagiewnicka 27
Patzer P., Kilińskiego 78
Friedensztab T., Cegielniana 67
Wolkensztajn J., Zielona 1
Zamcz G., Wolczańska 131
Restauracje — Abt A., Krucza 1
„Angielski bar" Piotrkowska 23
Darek E., Wolczańska 147
Kamiński J., Andrzeja 43
Nippe W., Nawrot 17
Pik I., Zawadzka 14,
Praset M., Zielony Rynek 39
Tutterleib P., Wolczańska 156
Ryby — Luboszyńska H., Południowa 11
Rzeźnicy — Skępski J., Brzezińska 65
Spożywcze art. — Elsner B., Bałucki rynek 7
Stalowe wyroby — Salomon Ed. i El., Piotrkowska 131
Tytuniowe wyr. — Feifber, Piotrkowska, „Grand Hotel"
Gelbard W., Andrzeja 2
Jarzębska i Kozanecki, Konstantynow. 67

Tytuniowe wyr. — Kacz A., Południowa 1
Lejman A., Stary Rynek 7
Lipszyc E., Cegielniana 54
Mielnik S., Południowa 11
Pins H., Piotrkowska 72
Poznański M., Cegielniana 22
Wytrzyc K., Piotrkowska 14
Wojtanowicz A., Cegielniana 74
Zbicki Z., Zgierska 1

Wina, wódki i likiery — Roter J., Jerzego 7
Trantwein A., Piotrkowska 73
Winter A., Gdańska 5

PIOTRKÓW

Banki — Bank dla handlu i przem., Kaliska 12
Bank zw. sp. zarobk., pl. Kościuszki 4

Dentyści — Tamilin N., Kaliska 10

Drukarnie — Rozenstein M., Trybunalska 4

Galanterja — Malargiewicz R, Kaliska 1

Hotele — „Hotel Krakowski" pl. Kościuszki 7

Kapelusze — Loga W., Strończyńskiego 4

Lekarze — Koltis H., Toruńska 6
Kowalczewski M., Legjonów 14

Octu fabryki — Goldfrajd I, 3 Maja 27

Pralnie i farb — Kamińska L., Piłsudskiego 55, filja Al. 3 Maja 1

Restauracje — „Gastronomja" pl. Kościuszki 10
„Restauracja Udziałowa" Kaliska 28

Spółdzielnie — Włość. tow. handl., S enkiew. 8

Szkoły średnie — Trzcińska H., gimn. żeń. Kościuszki 5

Tartaki — „Ojkos", Bujnowska 18

Wódki, wina i lik. — Tumlin W., Kaliska 10

PŁOCK

Apteczne skł. — Majde M, Grodzka 16

Apteki — Włodkowski B., Rynek Kanon. 5

Budowl. biura i materj. — „Sektor", Kościuszki 10, tel. 81

Cukiernie — „Borowiczki"

Drukarnie — Detrychowie B-cia, Kościuszki 4

Hotele — „Hotel Angielski", Kestijanis K., Tumska 9, tel. 65

Mechan. zakł. — „Autogaraż" Zawielski A. i Wysocki A., Kolegjalna 24, tel. 182

Piekarnie — Ziółkowski K., Bielska 9

Techn. biura i artyk. — „Ekonomja", Kolegjalna 6, tel. 58
Zeligman R., N. Rynek 20

Tytun. wyr. — Praszkiewicz S., Kościuszki 9, tel. 183

Wódki, wina, lik. — Lewenstejn R., Kościuszki 1, tel. 92
Ulicki A., Grodzka 10, tel. 199

PRUSZKÓW

Dentyści — Muszyńska A., Kościuszki 35

Kawiarnie — Małgowska W., Sienkiewicza 3

Wódki, wina i lik. — Timme S., Bol. Prusa 20

RADOM

Budowl. biura — Szymkowiak J. W. i S-ka

Dentyści — Ogórkowski S., Lubelska 9

Restauracje — „Bar pod 5-ką", Zgoda 5

RADOMSK

Meble — Thonet—Mundus

SIEDLCE

Owocarnie — Mieszało F. Warszawska 40

Wódki i likiery — Podlaska fabr. wódek i lik., 3 maja

SOSNOWIEC

Handlowe przedst. — Niewiarowski J., Kołłątaja 3

Papiernie — Lamprecht P.

WARSZAWA

Apteczne skł. — Domaradzki A i Hepner A., Marszałkowska 81, tel. 115-34
Domagalski W., Marszałk. 59, tel. 26-78
Gąsowski J., Śniadeckich 22, tel. 210-79
Pieczyński R., Belwederska 10

Bławatne tow. — Goldkopf H., Długa 47, tel. 247-84
Wit. M. F. Senatorska 10

Browary — „Browar Związk." s. a., Grzybowska 65, tel. 42-69
„Sanitos" Ogrodowa 62, tel. 138-29

Budowl. przedst. — Pol. Tow. Budowlane, Wierzbowa 9

Cukiernie — Bodytko Fr., Długa 6
„Cukiernia Wiedeńska", Chmielna 50, tel. 263-26
Mazurowski A., Krucza 47a
„Pasticceria Italiana" Carolini G. S., Złota 38, tel. 152-10
Podolski W., Chmielna 75
„Tatrzańska" O. Barcz i B-cia Fikner, Wspólna 24, tel. 178-20

Cukry — Kierski A., Młynarska 26, tel. 53-82

Cukrownie — „Związek zach.-polsk. przem. cukrown. w Poznaniu", Chmielna 2

Drukarnie i litogr. — Cotty J., Kapucyńska 7
Mierzejewski F., Miodowa 14, tel. 31-39

Fotografje — „Rubens", Miodowa 1

Fryzjerzy — Fryzjernia na Dworcu Głównym, Idzikowska W., Hoża 1a, tel. 288-21

Galanterja — Lewy Z., Krucza 29, tel. 240-61

Gorsety — „Tin de Siecle" Z. Dorant, Marszałkowska 74

Gramofony — Wysocki A., Chłodna 10, tel. 177-40

Guziki — Segał J. M. i S-ka, Bielańska 9

Handlowo-Przem. Tow. — „Lasmet" sp. akc., Plac 3 Krzyży 11, tel. 506-12

Hotele — „Hotel Brühlowski", Fredry 12

Jadłodajnie — Góralczyk J., Wspólna 2
Zielnikowa H., Wspólna 1

Kamizelki — Niska 54, m. 24

Kawiarnie — Helfreich A., Wspólna 10, tel. 149-86
Rekiert R., Al. Ujazdowskie

Kapelusze — „Warbina", Krucza 22

Kąpiele — „Djana" Łaźnie, Chmielna 13

Konfekcje — Kamińska R. i S-ka sp. z o. o., Chłodna 10

Korkowe wyr. — Etienne K., Jasna 11

Krawcy — Katano K., Chłodna 34
Syta S., Mokotowska 47
Ucieszyński A., Mokotowska 52

Lakierów fabr. — Król S I., Grzybowska 61, tel. 43-55

Lekarze — Amb. chir. Centnerszwer, Leszno 13, tel. 40-14
Berlis P., chor. sk. wen. Wierzbowa 9
Braumritter F., chor. wewn., Leszno 13, tel. 74-67
Bursche E., chirurg. Orla 13
Fajcyn Z., Leszno 36, tel. 287-74
Finkielsztejn H., Orla 4
Finkielkraut — akusz, Orla 13, tel. 83-11
Finkielkraut M., chor. gardł., uszu i oczu, Graniczna 5
Fryszberg A., chor. kobiece, Leszno 13, tel. 242-30
Frydman B., Poznańska 36, tel 264-92.
Gelbfisz J. chor. wen., płc., Złota 24, tel. 119-97.
Jastrzębski M., Hortensja 4, tel. 246-88 i 105-45.
Lewin N., Leszno 19, tel. 196-61.
Maysner N., Marszałkowska 317, tel. 38-20.
Paderewski Z., Smolna 13, tel. 12-81.
Pniewski R. chor. kobiece, akusz., Tłomackie 3, tel. 189-13.
Ratinow A. chor. wewn., Złota 28, tel. 269-99.

Maszyny do kopjowania — Gestetner D. Sp. z o. o., Niecała 3.

Maszyny — Łopieński I. i Pawlikowski C., Ogrodowa 59a, tel. 185-29

Meble — Moczek A. Zakł. stol., Chłodna 36

Mięso — Danowska F., Wspólna 10
Rytko A., Krucza 5
Wcislińska K., Nowowiejska 26

Mineralne wody — Iwański J., Twarda 34, tel. 47-04

Mleczarnie — Klarecka A., Wpólna 22

Muzyczne szkoły — Sobieszczańska — Dąbrowska, Plac Trzech Krzyży 13

Nasiona — Skośkiewicz B-cia, Al. Jerozolimska 41, tel. 107-25

Obrazy — Dom Sztuki sp. akc., Chmielna 5, tel. 32-71 i 96-32

Optycy — Berent i Plewiński, Moniuszki 12, tel. 28-89

Piśmienne materjały — „Lira", Złota 16, tel. 94

Podróżne artyk. — Szajber H., Trębacka 4

Pralnie chemiczne i farbiarnie — Celińska M., Bracka 11
Olszewska H., Złota 36

Pralnie chemiczne i farbiarnie — Ptaszyńska M., Krucza 44
„Stefanja", Krucza 10.

Pralnie bielizny — „Eugenja", Mokotowska 61 tel. 228-94
Szychowska S., Mokotowska 41

Restauracje — „Amerykanka", Rytwiński A., Marszałkowska 31
„Wróbel", Mazowiecka 14, tel. 18-27

Rolnicze maszyny i narzędzia — „Elmar", Senatorska 22

Rzeźbiarsko-kamieniarskie pracownie — Kozyrski W., Młynarska 39

Szkło i naczynia kuchenne — Lesselbaum K., Krucza 20

Techn.-handl. biura — Kotowicz F. i S-ka, Nowy Świat 16, tel. 135-85
Poznański M., Marszałkowska 72, tel. 51-65
„Plon", Hoża 9, tel. 303-32

Trykoty — Gutgiser M. i S-ka, Orla 15, tel. 181-82

Samochody — „Renault" Makowski A., Fredry 4

Szkoły średnie — Gaczeńska i Kacprowska 8 kl. gimn. żeń., Chłodna 15, tel. 147-80
Jakubowska A., 8 kl. gimn. żeń., Plac Trzech Krzyży 18
Jędryczkowska W. 8 kl. gimn. żeń., Elektoralna 11
Lange W. 8 kl. gimn. żeń. Senatorska 6
Łebkowski 8 kl. gimn. m., Wspólna 24
Rudzka 8 kl. gimn. żen., Zielna 13
Walicka A. 8 kl. gimn. filol żen., Krucza 44
Waligórska A. 8 kl. gimn. żeń, Plac 3 krzyży 8
Zaborowska J. 8 kl. gimn. żeń., Chłodna 68

Szkoły początkowe — Wieszyńska N., Marszałkowska 35 m. 10

Wędliniarnie — Chojniasz W., Żelazna 23

Wina, wódki i likiery — Gable W., Chmielna 126

Zabawki — Malanowski J., Królew. 37, tel. 271-75

WILNO

Apteczne składy — Charytonowicz W. i S-ka, Wielka 58
Prużan I.

Cukiernie — Rudnicki W.

ŻYRARDÓW

Dentyści — Kozicka M., Długa 6

Kolonjalne towary — Michalak W., Jasna 2.

Owocarnie — Orłowska A., Aleja Ditricka 5

Restauracje — Brzozowska, Wiskicka 6
„Gawryś", Przejazd róg Siekiewicza

Weteryniarze — Brzeziński W., Wiskicka 4

Wędliniarnie — Jankowski S., Wiskicka 63

Żelazo — Matuszewski M., Wiskicka 16

PRALNIA CHEMICZNA
H. POROWSKA
WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 76

434

PRALNIA CHEMICZNA
I FARBIARNIA
„FELICJA"
WARSZAWA, Ul. SOLNA Nr. 8
WYKONYWA ROBOTY SOLIDNIE
PO CENACH KONKURENCYJNYCH

430

PRALNIA
CHEMICZNO - BIELIŹNIANA
Romana Michałowskiego
WARSZAWA, Ul. LESZNO 74
WYKONYWA ROBOTY SZYBKO
I PO CENACH KONKURENCYJNYCH

425

PRALNIA CHEMICZNA
I FARBIARNIA
Janiny Roszkowskiej
WARSZAWA, Ul. CHŁODNA 32
PRZYJMUJE GARDEROBĘ DAMSKĄ
I MĘSKĄ, DYWANY, FUTRA i t. p.
PO CENACH KONKURENCYJNYCH

427

WZOROWA
PRALNIA
CHEMICZNA
WARSZAWA, HOŻA 9

435

PRALNIA BIELIZNY
Aleksander Zieniewicz
WARSZAWA, Ul. WALICÓW 25
WYKONANIE STARANNE
CENY KONKURENCYJNE
SPECJALNE PRANIE FIRANEK

424

PRALNIA BIELIZNY
TEKLI FILIPSKIEJ
WARSZAWA
Ul. WOLSKA 28
WYKONYWA ROBOTY STARANNIE
SOLIDNIE I PO CENACH KONKU-
RENCYJNYCH

423

PRALNIA BIELIZNY
MARJI ZYBERT
WARSZAWA
Ul. WOLSKA 30
WYKONYWA ROBOTY STARANNIE
I SOLIDNIE

422

EGZYSTUJE OD 1899 R.

BIURO
INSTALACYJNO-TECHNICZNE

T. Godlewski i S-ka

INŻYNIEROWIE

Warszawa, Żelazna Nr. 63

(DOM WŁASNY)

TELEFONY: 6-94 i 23-20.

Adres telegraficzny: „WARSZAWA-RADIATOR".

WYKONYWUJE ROBOTY:

1) DZIAŁ MONTAŻOWY — ROBOTY KANALIZACYJNO-WODOCIĄGOWE, ŁAŹNIE, KĄPIELE, PRALNIE MECHANICZNE, OGRZEWANIA CENTRALNE, WENTYLACJE, SUSZARNIE I T. P.

2) DZIAŁ FABRYKACYJNY — SPINACZE DO PASÓW MARKI PATENTOWANEJ „GRYF", ZAWIASY DRZWIOWE I OKIENNE, SKRZYDŁOWE, SZARNIROWE, POJEDYNCZE I PODWÓJNE.

428

WYTWÓRNIA WĘDLIN

Edward Piestrzyński

WARSZAWA, PAŃSKA 103.

FILJA: TWARDA 59.

POLECA SWOJE WYROBY
W HURCIE I W DETALU PO
CENACH KONKURENCYJNYCH.

420

WYTWÓRNIA WĘDLIN

Feliksa Steinmetza

WARSZAWA, GRZYBOWSKA 31

POLECA
WYBOROWE WYROBY
PO CENACH
KONKURENCYJNYCH.

421

„Malarnia Warszawska"

W. RÓŻYCKI

WARSZAWA, WILCZA 5.

ARTYSTYCZNA
PRACOWNIA ZNAKÓW
I ZAKŁAD MALARSKI.

SPECJALNOŚĆ ZNAKI NA SZKLE.

432

Mleczarnia „HANUSIA"

A. KOWALCZYK

WARSZAWA,

UL. ŚNIADECKICH Nr. 3.

433

PRALNIA BIELIZNY

WARSZAWA, BIAŁA 2.

WYKONYWA ROBOTY
SZYBKO I PO CENACH
KONKURENCYJNYCH.

424

PIERWSZA WARSZAWSKA
PIEKARNIA MECHANICZNA

KAROLA WENDT

WARSZAWA,
LESZNO Nr. 50,
TELEFON 199-88.

426

NACZYNIA TŁOCZONE Z BLACHY, EMALJOWANE

GIMNAZJUM MIEJSKIE

MATEMATYCZNO-PRZYRODNICZE

W ŻYRARDOWIE

PODAJE DO WIADOMOŚCI, ŻE EGZAMINY DO WSZYSTKICH KLAS NOWOWSTĘPUJĄCYCH UCZNIÓW ODBYWAĆ SIĘ BĘDĄ OD 20 DO 25 CZERWCA R. B. PODANIA O DOPUSZCZENIE DO EGZAMINÓW Z METRYKĄ, ŚWIADECTWEM SZCZEPIENIA OSPY ORAZ ZE ŚWIADECTWAMI SZKOLNEMI PRZYJMOWAĆ BĘDZIE KANCELARJA SZKOŁY OD 15 MAJA DO 15 CZERWCA R. B.

201

PIERWSZORZĘDNA RESTAURACJA
WANDY POLKOWSKIEJ
W ŻYRARDOWIE, UL. WISKICKA Nr. 31.

144

RESTAURACJA PIERWSZORZĘDNA
WINCENTEGO SKUPNIEWSKIEGO
W GRODZISKU MAZOWIECKIM, UL. PRZECHODNIA Nr. 18.

52

SPÓŁDZIELNIA
ROLNICZO-HANDLOWA
W GRODZISKU

ODDZIAŁY:
MSZCZONÓW, UL. RADZIEJEWSKA
ŻYRARDÓW, UL. BROWARNA
WISKITKI, UL. ŻYRARDOWSKA

198

KNASTER CHAWA
HANDEL WIN
I WÓDEK
W GRODZISKU,
RYNEK Nr. 2.

FIRMA ISTNIEJE OD 1872 R.

195

APTEKA, SKŁAD APTECZNY
I FABRYKA
WÓD MINERALNYCH
STANISŁAWA ::: :::
::: ::: ::: ::: WŁODKA
W GRODZISKU.

196

GABINET
LEKARSKO-DENTYSTYCZNY
EUGENJI :: :: :: :: ::
GEBARTOWSKIEJ
Grodzisk Mazowiecki, ul. Kościuszki 25.
LECZENIE, PLOMBOWANIE, ROBOTY ZŁOTE, ORAZ SZTUCZNE PROTEZY.

199

RESTAURACJA
F. Romanowskiego
W GRODZISKU.
ŚNIADANIA,
OBIADY
I KOLACJE.
1872.

197

RESTAURACJA II RZĘDU
Fr. KASPRZYKA
W GRODZISKU
MAZOWIECKIM
UL. BŁOŃSKA 1.

51

WILEŃSKI DOM TOWAROWO-PRZEMYSŁOWY

BRACIA JABŁKOWSCY

SP. AKC.

MICKIEWICZA 18
TEL. 733-734

WILNO

ADRES TELEGRAF.
„TOWDOM" WILNO

484

FIRMA CHRZEŚCIJAŃSKA

DOM HANDLOWY

„BŁAWAT WILEŃSKI"

właściciele:

S. BORKOWSKI J. JANUSZEWSKI O. PUCHALSKI

WILNO, UL. WILEŃSKA 31

POSIADA stale duży wybór towarów wełnianych, bawełnianych, białych pościelowych, poduszek, kołder, pierza i waty.

Ceny niskie

480

DOM HANDLOWO-PRZEMYSŁOWY

„ŚWIT"

WILNO, UL. WILEŃSKA Nr. 23
i AD. MICKIEWICZA Nr. 7

Skład artykułów spożywczych

Skład naczyń kuchennych, narzędzi rzemieślniczych i technicznych

TELEFON
8-95 SKŁAD SPOŻYWCZY
8-96 SKŁAD METALOWY

ADRES TELEGRAF.
„ŚWIT"

485

JAN WOKULSKI i S-KA

WILNO, WIELKA Nr. 9

TEL. Nr. 1-82

POLECA:

BIELIZNĘ, KAPELUSZE
GALANTERJĘ, PALTA,
OBUWIE

489

POLSKI DOM HANDLOWY

„WSPÓLNA PRACA"

SP. Z OGR. ODPOW.

WILNO, UL. MICKIEWICZA Nr. 5 M. 3

NOWOOTWORZONA SALA
KONFEKCJI DAMSKIEJ

POSIADA NA SKŁADZIE: PALTA, SUKNIE, KAPELUSZE I GALANTERJĘ DAMSKĄ

CENY PRZYSTĘPNE

CENY PRZYSTĘPNE

491

„IRENA"

PRALNIA CHEMICZNA
I FARBIARNIA WZOROWA
ROBOTA SOLIDNA
CENA PRZYSTĘPNA

WARSZAWA
UL. JASNA Nr. 14
TEL. Nr. 305-47

414

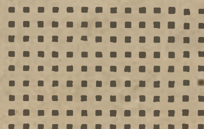
WĘDLINIARNIA
J. SMÓŁKO

WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 20
TELEFON Nr. 226-50

POLECA
CODZIENNIE
WĘDLINY
ŚWIEŻE

417

FABRYKA CHEMICZNA
WYROBÓW WEŁNIANYCH
PINKUS GERSZOWSKI i S^KA
ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 75



291

DOM HANDLOWY
J. PINES i S. KANCELSON
ŁÓDZ UL. PIOTRKOWSKA 117

294

ARNOLD GISLER

PRZEDSTAWICIEL PRZĘDZY
ŁÓDŹ, UL. TRAUGUTTA Nr. 1
TEL. Nr. 26-50

267

SKLEP BŁAWATNY
A. TETZLAFF i S^KA
ŁÓDŹ
PIOTRKOWSKA Nr. 100

263

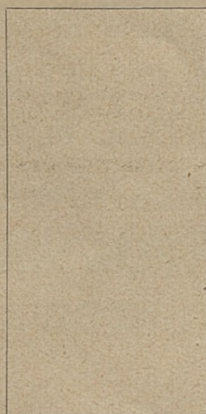
HURTOWNIA TYTUNIOWA

ŁÓDŹ
NARUTOWICZA 5

TADEUSZ GŁOGOWSKI

213

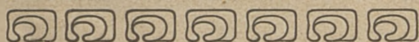
SPRZEDAŻ WYROBÓW PAŃSTWOWYCH

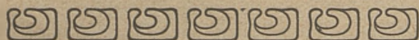


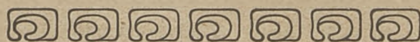
ŁÓDŹ
NARUTOWICZA 32

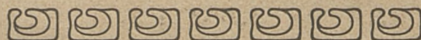
HURTOWNIA TYTUNIOWA Nr. XI

214









APRETURA I WYKOŃCZALNIA

FERDYNAND SEELIGER SS-wie

ŁÓDŹ

Piotrkowska Nr. 186

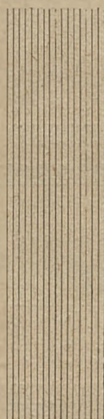
APRETURA I WYKOŃCZALNIA

279

DOM HANDLOWY

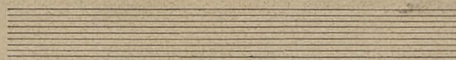
Bruno Buchholtz i S-ka

Sp. z ogr. odp.



ŁÓDŹ, AL. KOŚCIUSZKI Nr 21.

222



RESTAURACJA

II RZĘDU

E. M. SAWICKI

ŁÓDŹ, BRZEZIŃSKA Nr. 21



241

SIELECKA
CEGIELNIA MOTOROWA
FELICJANA WIECZORKA
w Sosnowcu,
ulica Wawel Nr. 12.
TELEFON Nr. 1-78.

529

Fabryka Papieru
P. LAMPRECHT
SOSNOWIEC

530

„ELEKTROWNIA OKRĘGOWA
W ZAGŁĘBIU DĄBROWSKIEM SP. AKC."
BIURO DYREKCJI W SOSNOWCU,
UL. SIENKIEWICZA Nr. 9, TEL. 55.

„WYTWARZANIE, PRZESYŁANIE NA ODLEGŁOŚĆ I SPRZEDAŻ ENERGJI ELEKTRYCZNEJ NA POTRZEBY OŚWIETLENIA ORAZ PRZEMYSŁU".

315

APTEKA
W. WASILEWSKI
SOSNOWIEC

539

RESTAURACJA I CUKIERNIA
„ZACISZE"
SPÓŁKA Z OGR. ODP.
Sosnowiec,
ulica Sadowa Nr. 3
TELEFON 2-30.

527

OGŁOSZENIE.

Magistrat m. Siedlec niniejszem zawiadamia, że cementownia miejska wyrabia wszelkie wyroby cementowe, jak to: płyty, rury studzienne i kanalizacyjne wszelkich rozmiarów, pustaki i t. p. Ceny konkurencyjne.

Zamówienia kierować do Magistratu (Wydział Gospodarczy).

MAGISTRAT.

653

OGŁOSZENIE.

Magistrat m. Siedlec niniejszem zawiadamia, że w stolarni miejskiej w Siedlcach są wyrabiane masowo ławki szkolne i inne przedmioty w/g wzorów zatwierdzonych przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, po cenach konkurencyjnych.

MAGISTRAT.

653

REDAKTOR: WIKTOR PRZECŁAWSKI
WYDAWCA: W. Z. W. ZWIĄZKU INWALIDÓW WOJENNYCH RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Druk. Szt. Gen. Nr. 225. 3000. 20.VI.25.

KRAKOWSKA
GAZOWNIA MIEJSKA

DOSTARCZA W KAŻDEJ ILOŚCI

KOKS GAZOWY Z NAJLEPSZYCH WĘGLI GÓRNOŚLĄSKICH DO OGRZEWANIA MIESZKAŃ, CENTRALNEGO OPALANIA I DO PRZEMYSŁU. SPALA SIĘ W KAŻDYM PIECU BEZ DYMU. SPRZEDAŻ PO CENACH I NA WARUNKACH BARDZO PRZYSTĘPNYCH.

AMONJAK WAGONOWO, BECZKAMI I DYMIONAMI. APARATY DO GRZANIA WODY RÓŻNYCH SYSTEMÓW I W RÓŻNYCH WIELKOŚCIACH.

ZAMÓWIENIA PISEMNE I TELEFONICZNE Nr. 72, ALBO 16 PRZYJMUJE DYREKCJA